KAZIMIERZ
HOFFMAN

Wiersze wybrane

Wiersze wybrane

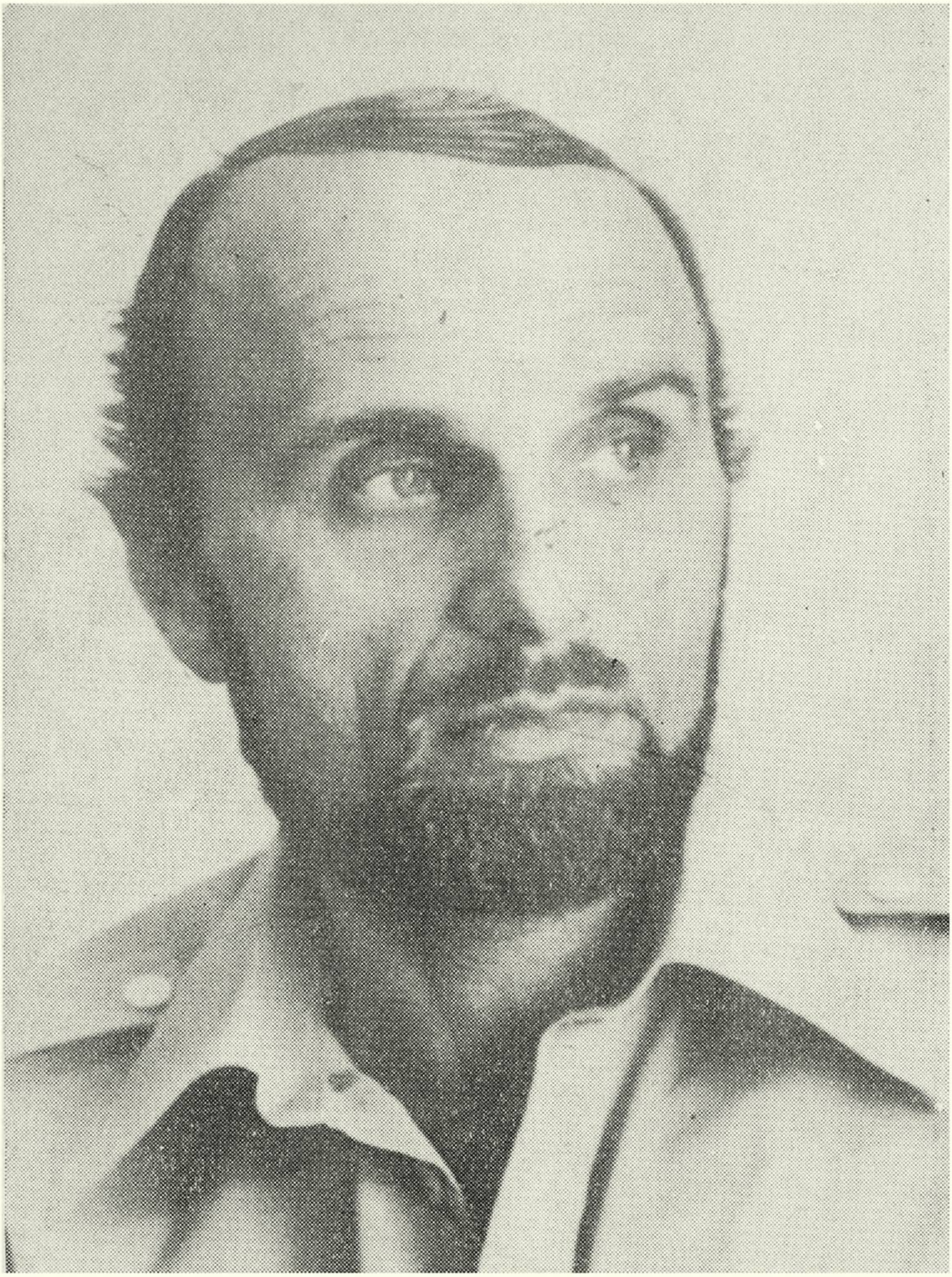

KAZIMIERZ HOFFMAN

Wiersze wybrane

Wydawnictwo Morskie Gdańsk — Bydgoszcz 1978

Opracowanie graficzne: Kazimierz Jułga

© by Kazimierz Hoffman Gdańsk—Bydgoszcz 1978

WYDAWNICTWO MORSKIE ● GDAŃSK 1978

Wydanie pierwsze. Nakład 1800+200 egz. Ark. wyd. 3,41
Ark. druk. 5,375. Papier druk. sat. III kl. 80 g. Oddano
do składania 30 sierpnia 1978 r. Podpisano do druku
i druk ukończono w grudniu 1978 r.

Zam. 2400 R-2 Cena zł 25,—

Zakłady Graficzne w Gdańsku, ul. Świętojańska 19/23

* * *

Idziecie czy nie
krzyknął Pan Bóg

przebierając łapkami
spiesznie
wypełznęliśmy z krętych
czarnych korytarzy

taak To był inny To był inny
świat —
Rozbieganych po niebie
gałęzi — Wirujących u szczytu
zapachów

na górze — o — płomyk
płomieniem podparty
orzeszkiem
chrzęści

jakie to dziwne
jakie to dziwne wołano
dookoła

dałem im znak

jeden po drugim
frunęli
na rozległe tarasy gałęzi

byłem już pewny
piórko po piórku
słomka po słomce
odbudujemy świat

przez chwilę jeszcze
trwa trzepot skrzydeł
Mojżesz usnął.

1960

Zielony jesteś

STAFF

od boru spiesz się Ty woła
kukułka
dokąd mnie tak niosą

z tym wieńcem na czole

ktoś kubek podaje
ktoś chwyta pantofle
za oknem łoża pościele obłoków

przechylam
wkładam
to mnie usypia

A chciałem już pisać
a chciałem już pisać:

Czas: jak wilczur w skoku

u gardła —

MARTWA NATURA Z ŁODZIĄ

Łódź
wyrzucona na piasek
w oparzyskach piołunu
od łąk
uschnięta

Deska od deski w czerni
odchodząca

U spodu
muszla
skamieniała w ciszy
po wyłuskanym nasieniu morza

Cień: ów polip śnięty
w chmurze atramentu

Wyżej —
stoją motyle

na horyzoncie
Żeglarz
z oberwanymi skrzydłami
odwraca jeszcze głowę
do wspomnień o Itace
przyszpilony

ROZMOWY

I mówi pierwszy

W końcu trzeba uwierzyć w tę historię
bez drutu
w ten balonik wynikający bez słomki
poruszający się bez gazu, powietrza
w środku —
sam jeden
pomiędzy Chelsea a dębem w Rogalinie

w cudowne rozmnożenie łąki
w przemianę rosy w wino

(w ten kiełek
pod jezdnią
powtarzający do skutku
powtarzający rzecz całą o wiertle
przebijaniu i listku zielonym)

w ową kroplę o właściwościach łagodnej
prawej ręki
i napełnionego dzbana
w te kwadraty obłoków
kasztanów trójkąty
przemiany błękitnego w zielone o, zielonego
w żółte —
w tę wielką szybę mokrą pod procami blasku!

bo oto: zakołysały się haszcze
i dzień — zapłoniony, nagi —
jak dziewczyna Renuara
dopada naszego ciała
— — —

zamykamy oczy
rozchylamy usta

*

I mówi drugi

Dokąd zmierzasz Z chmury
potwora
który po trzykroć
oplata ziemię
Ten Ocean opada

Na ogród, na ptaka
kiedy w koronie
ukrywa szary
koszyczek gniazda
Ten Ocean opada

W dzbany owoców, o głębiej
do pestki
do samej chłodnej
szypułki soku
Ten Ocean opada

Kropla po kropli
przez dzień i przez sen,
który nami
jak źdźbłami szeleści

Ten Ocean opada

Jakże napięta jest
cisza ogrodu
jak niespokojny
wróblika krok

zobaczysz
synku
ukaże się dno

*

Trzeci milczy

Mieszka wysoko
i jego głos dochodzi najpóźniej

SŁONIE

I oto pchnąwszy ostatniego słonia —

tak, podziwu godna owa umiejętność
przetaczania ciężarów po równi po-
chyłej Ta krzepa Jako i przewlekanie
przez ucho igielne

— przekroczył Alpy.
Idziemy z Tomem przez Zoo Jeszcze nie
poruszyły się liście Nie trzasnęły trawy
Słonie stoją
szeregiem Światło Nie Ołów Matowe blachy
pokrywają ich skórę Trąby uniesione
prosto Ni głosu ni szmeru Skąd te
zwyczaje twarde Ta musztra Jak w wojsku

Hannibal — powiadam głośno
Co Hannibal — pyta Tom Ach
Hannibal

i pojmuje w końcu. Ich ślepka
odprowadzają nas na przepisową odległość

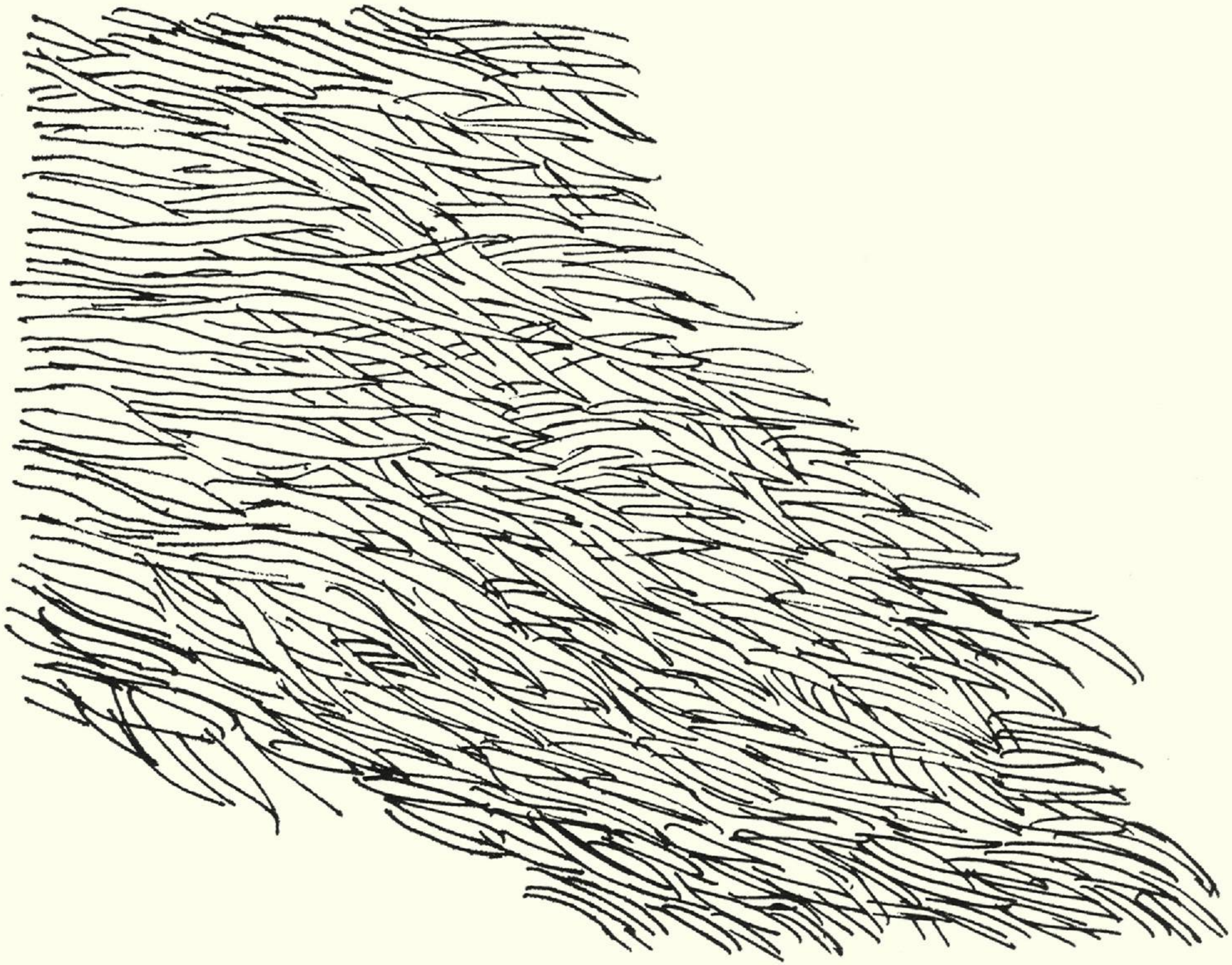

WĘSZENIE

Człowiek, pytasz,
Kim jest

Pod wieczór
nadchodzą zwierzęta

ich lędźwie
kołyszą ciszę

ruchliwe nozdrza
obwąchują przestrzeń

Człowiek Kim jest
spokojne ufne

wchodzą w gęstwinę
szelesty snu

o świcie
budzi nas bek
nowo narodzonego jagnięcia

Człowiek, powtarzasz,
Kim jest

ATTYLA

Attyla Bicz Boży
Z rogiem u czoła

wypuszcza sokoła

gdziekolwiek opadniesz tam
wbiję dziś topór
głodne mam serce
spiesz się

ptak kiwa głową
i odlatuje

Dzień jest pogodny
przez trawy gałęzie
przesuwa się światło
zapala dęby

...za lasem Gallów
ptak zeszedł w dół

Attyla świszcze

jest już na skraju
odgarnia gęstwę
mierzy
okiem

minęli jaskier

oracz idzie za pługiem
dziewczyna niesie dzban
pod złotym obłokiem

Z BAROKU

Pukałem do drzwi
dębowych kutych
Ziewnęły drzwi dębowe
kute

Połknęły.

Odtąd
żądło perspektywy
rozpuszcza we mnie
ten krajobraz ze złoceń

odpycham rękami

wiadoma trąbka
nawołuje z góry

EPIZOD NA DRODZE

6.VIII.

A skoro tak powiedział —
wyrwanym ze snu
splecionym jak pumy pod nowiem godowym
Skoro powiedział: Słuchaj no bednarzu
i ty słuchaj niewiasto —
skoro tak powiedział To idź teraz przy mnie
I nie odwracaj głowy Nie odwracaj głowy

Wiedziałem dawno:
Ta cisza w listowiu Domu naszego maty
i wiązania

wszystko jest z popiołu I oto czuję:
Na wzgórzach miasto w żmijach purpurowych
Ten znak rozpadu na moim ramieniu
...ktoś woła jeszcze.

Nie odwracaj głowy
Nie odwracaj głowy

Gdzie jesteś żono
Skąd się wziąłeś kamieniu

NAGLE

Pan o tym wątpi: nagle,
z głębi cienia, gdy las jest bezbronny
gdy las się przechyla (pod sykiem promienia
jak zawsze — w południe) zza drzew,
w zgrzytach trawy,

na zakręcie ścieżki...?

Pan o tym wątpi? O Pan jest szczęśliwy
Tak Gołąb Pana wzroku — przebiwszy zieleń —
pofrunął w dal

kto go doścignie
kto go tam dopadnie!

Choć stary Wiener,
zdejmując okulary, powtarza cicho:
Ze wszystkich jastrzębi
najszybszy jest strach.

W ICH OCZACH Z DIAMENTU

Schowaj się za listek —

cisza w dygotaniu
w ich oczach z diamentu
pieni się żółć

fale szaleństwa
cwałują im w twarzy
dochodzą czoła tak
zrozum

za listek
ich oczy z diamentu
nie pytaj stoi krew

wyciągnęli ramię cisza
ważą wyrok tak palec nie
dźwignia
przesuwa się w dół

ich żmije
sterowane
obliczone w kątach
skorpiony o

suną

twoje ciało kruche

twoje ciało z bólu
usta usta z krzyku

. . . . . .

za listek się schowaj
schowaj się za listek

zielony jesteś —

SENEKA

Więc mówię mu
ten nowy sposób tak gwałtownego rozkładu
przedmiotów Ludzi powiedzmy Zwinięcie się liścia
jak zawsze przy ogniu Ubytek ptactwa
mimo ostrych zakazów w okresie
ochrony Topienie się krzemu Powiedzmy
dół —

boję się

Przerywa mi
Czymś wstrętnym jest gwałtem zapewniać sobie życie
i przeciwnie, nader pięknie jest
gwałtownie umierać

No dobrze mówię ale
Chwileczkę — mówi
przymyka oczy (tamci wciąż ćwiczą)
To jednak go razi
myślę To jednak go razi: to niebo
z wirującym jak pszczoły metalem

NAD SAFONĄ

tu noce są mroźne
otul skronie Safo
w ciszy z lisich kroków
pęka z hukiem dąb

pod rumowiem liści
tura wieczne rogi

tu noce są mroźne
otul piersi Safo
bo ci je zaciśnie
wielki chłód od rzeki
gdy przetacza z chrzęstem
swoje okolice

tu noce są mroźne
otul stopy Safo
a bywało przecież
plac drutami spięty

długie igły wody

tysiąc nagich ludzi
kryształ
po krysztale

kto ci co innego
tu przypomni Safo
w śniegu jakie zwierzę
z lodu jaki ptak

Rousseau

NA FARMIE LABANA

Przyszedłszy Jakub do Labana,
służył mu za Rachel, córkę jego
siedem lat...

Przetarł czoło i mówił dalej:

Zaczekaj z sądem Nie tamten był winien
Czym jest więc roztropność Przezorność, powiedz
Zauważ korzyści, dla których Laban
przez owych lat siedem
wełną tamtych owiec i pustynnym piachem
oddzielał od Jakuba córkę swoją Rachel
Zauważ korzyści

Odpowiadam szybko: A tamtych dwoje
Przypomnij dobrze Wieczór Ta scena

Po siedmiu latach Pod koniec żniw tak hojnych
tego roku (Jakub) idzie do Rachel
Nikt nań nie patrzy
nie robi wielkich oczu Biegnie skrajem
gdzie właśnie, odłożywszy kosy, przez chwilę krótką
pomiędzy przejściem z jednego na drugie tam
pólko wypluwają pestki zdziczałej jabłonki

nikt nań nie patrzy Bez świadków zatem
(w listowiach gęstych) dociera do płotu
Pchnąwszy drzwi
widzi ją. Drobna Wbita pośrodku Z tym
drewnem
(jak wówczas) zmatowiałym w twarzy

zaściela obrus. Nie drgnęła wcale Nie pyta Jej twarz
nie przepuszcza Nie odbiją też oczy (rozwarte zbyt
mocno
w tym kruchym drzeworycie) aczkolwiek w głębi
— on wie — od głębi wstało w niej już idzie
to jedno t o j e d n o tylko:
odgarnął mech
i wyszedł spod ziemi
jakby powiedzieli inni, z sąsiadującej z tym wzgórzem
doliny...

Potrząsa głową: Czym jest więc

roztropność Przezorność, powiedz Patrz
R u d o ś ć przyczajona O
P a l u c h dodatkowy Co stuka od wewnątrz
w przekrwioną kość głowy! Zaś Laban
był sprytny. Zauważ, zauważ korzyści
dla których Laban przez długich lat siedem
wełną tamtych owiec tak wełną i piachem
oddzielał od Jakuba córkę swoją Rachel

jakże teraz darzy ziemia Izraela!

Wieczór był cichy
Spod liści terasy spoglądaliśmy na trzody
pijące wodę z przemyślnych cembrowin

Zapytałem więc znowu: A tamtych dwoje?...

CISZEJ

Więc dobrze: łąka.

Opuszczę zatem opis zapaści

dławienia rośliny Takie przypadki
kradną nam spokój. Wyminę tutaj
zgaśnięcie światła na każdym piętrze
w wieżach tasznika, żółtego kosaćca
zdmuchnięty
świat Zostawmy wszystko Nic nic prócz
szeptu, prócz parafrazy z Pawła Neergaarda

źdźbło w jesiennej łące
umiera syte życia

. . .

czemu to piszesz, powtarza sobie,
przywołaj kreta: on dotknie ciszej.

* * *

Czuje to. Ona czeka jeszcze. Jej oddech stoi
za drzwiami. To go przeraża. Opięty czarno
w jesienny zmierzch, dotknął przed chwilą gardła

próbuje nie myśleć

jego wzrok przedzierający się od ściany
do ściany poprzez wielość podziałów, płaszczyzn
pokoju, tworzących z kolei ściany i ściany
— konstrukcją nośną jest tutaj dąb szafy —
dochodzi okna. Przymglony krajobraz
ukazuje rzecz ścisłą i wyliczoną Tak Na lewo
sześciany Na prawo sześciany

mężczyzna zaciska teraz powieki

wyobraża sobie z wolna miejsca
n i e g r o d z o n e Pola w lekkim falowaniu
przemieszczaniu się światła Przestrzeń poza
tym wnętrzem tynkowaną klatką Poza cmo-
kaniem tłustej ciągle ściery w palcach
tej kobiety Wyjście
stąd dalej Wyjść
dalej od
krzyku w tej głucho obracającej się twarzy!

* * *

*

Hilton rezygnuje.

Dwie wzdłużne plamy na białym tle. I brak języka.
Próbował w skos: każde ich przesunięcie tworzy
wciąż
nowe podziały. To na nic. „Sprawdźmy robotę w
równaniu,
na cyfrach" — usłyszał kiedyś. Uśmiecha się gorzko;
ten wariat był z Hagen.
Powrócić do koła?... Chłód. Brak języka.
— wolno odwraca obraz. Przeciąga palcami: pojmuje
oto,
że przedmiot wypełnił się chłodem (nie tym jednak,
który zamierzył),
że jest już n i e s w ó j,
jak srebro na podniebieniu.

---

* *Roger Hilton — autor obrazu June, 1953.*

* * *

ale sprawy są w zawieszeniu. *Czeka na popis*
chłodna natura — powiada Grek
Po chwili stawają. Zobaczyć
kapitana żaglowca,
który przeniósł ładunek koło cypla w Selaton!

tak samo i teraz: drewno
obudowało ciszę. Ptak odstukuje swój znak.

LIPCHITZ

A po chwili przychodzi na myśl
i mówię Jutrzenka

zostawmy malarstwo. Ów pierwszy
mówił prawdę: jest w ruchu cała
jej ciche palce
oddzwaniające w tylu elementach

jest wokół. Zna sztukę odmiany
jest wokół. Ze wszystkich jej chwytów
obserwujmy ten jeden

ujęty (przez nią) obmyty przedmiot
wyzbywa się raptem naszej sierści
i kłów: odwyka znów:
świeci. To wszystko. Dane są nam tylko
świetliste m a s y Zauważ

współczesna rzeźba, w miarę zajadła
o wielorakim przeznaczeniu

pod odlewem z porannego światła
zdaje się zatracać swe żelastwa
z przemyślenia: zwoje mięśni, pokrywy,
róg. Świeci. Nic więcej. Zastanówmy się
czy to mało: byk —
wstrzymany roztropnym zamysłem Jutrzenki
Lipchitz: rozbrojony: przez chwilę choćby!

*

Pod koniec grudnia przedarłem się wreszcie.

Wydmuchane zagaje Wyraźny skrzep Ten zygzak
krwinek oplątujący hen — brzegi Spustoszenie w
liściach
echo echo znaczyły najwyraźniej
drogę odwrotu. Rozpaliłem ognisko Czekałem
nowiu Milczenie Śnieg Zastanowił mnie tylko
ów paznokieć Nie zbielały jeszcze Spłoniony Z tę-
tnem (podpełznąłem blisko) Nade wszystko zaś

dziób. Poruszający się jeszcze. Tak.

*

Wyciągnąwszy korek
(to pl-uff przypomina bąbel,
grzyb spod wody, powiem dokładniej: katastrofę
niespodzianą łodzi podwodnej, z zatrzaśniętym w
kiosku
drugm oficerem*)
— pijemy wino. Jest nas czterech
na tej gwieździe. Więc co

Stanisław rozciera wciąż ręce, Jakubowi
przyszła droga przez pustynię,

---

* *Zatonięcie „Falcon" na Morzu Północnym w latach trzydziestych.*

w ogniu, więc pije Ten trzeci ma nieokreślone
Sięga wzrokiem tam Dokąd Nie śmiem
Jest nas czterech wciąż Krwawo

ma się na wiatr Więc co

Tu pl-uff
przypomina dno.

*

Bert Moebe pisał:
Śniłem wczoraj przedmiot. Nieduży, jest
lekko spłaszczony. Obracałem go
w palcach: nie mogłem pojąć. Nie mogę
pojąć: może rozwiać miliony.
Może rozwiać miliony.

*

. . . . . .
Ilekroć to uczynią
zagrzebuje się głębiej. Jego sierść znów
cierpnie. Smród. Uszy jego
stulone. Jego nozdrza węszą
zastawione sidła. Niespodziane,
poznane już niegdyś zwierzę
zaczyna skomleć we mnie: obracać ślepiami

jak to czuje
skradających się ludzi!

*

Ale mówił też inny: Kontynuując
tok rozważań
możemy stwierdzić, że najekonomiczniej
jest dostarczać pewne pośrednie zespoły
zawierające mniej niż N, lecz więcej niż N′
wyrazów, przy czasach dostępu dłuższych niż t,
lecz krótszych niż
t″.

(Po chwili, odkładając książkę)

Pomyśl, Jean: zbiegnięcie się linii U celu
punkt Nie można, nie można się temu nadziwić
Od żółwia, wzwyż, do Pounda
będziemy przyzwyczajać się
do inngo już prawa Po stokroć sprężone budowle
przetrwają I głowa na karku
będzie górą

*

Ograniczenie. Forma. Zatrzaśnięcie w metalu.
Gwałt.
Czego szuka tam Harvey Do czego ten
mechanizm Wentyle Kiosk Płetwa Na które cisną
prawieki Oceanu
Czego on tam szuka Wyrwany ze szczytu
kwietniowego dnia Śródpola Tak Od punktu
w przestrzeni Spod liścia Wyrwany z powietrza
Czego on tam szuka
W jelitach Rekina o kolcu
skażonym Zaszczuty w metalu Dokąd Czego ty
tam szukasz, Stary,

z zaschniętym na czole włókienkiem trawy,
które nad Greenville obraca wiatr
Dla kogo ten cały cholerny mechanizm
Co wy tam robicie Wyrwani z ziemi Wyrwani
z powietrza
Czego tam szukali
Ach bezlitosna korekta natury Spójrzcie no teraz:
stu dwudziestu dziewięciu splata się rozplata
w pra-warstwach Oceanu

po runięciu ścian

NAPISAŁ

Napisał las
ale las nie odszumiał
skreślił las napisał dąb
ale dąb nie odszumiał
skreślił dąb napisał liść
ale liść

Jego dzięcioł nie wydaje dźwięku
jego woda nie roztacza kręgów
jego piorun nie rozszczepia dębu

Co on chce powiedzieć

wbij!
może krzyknie

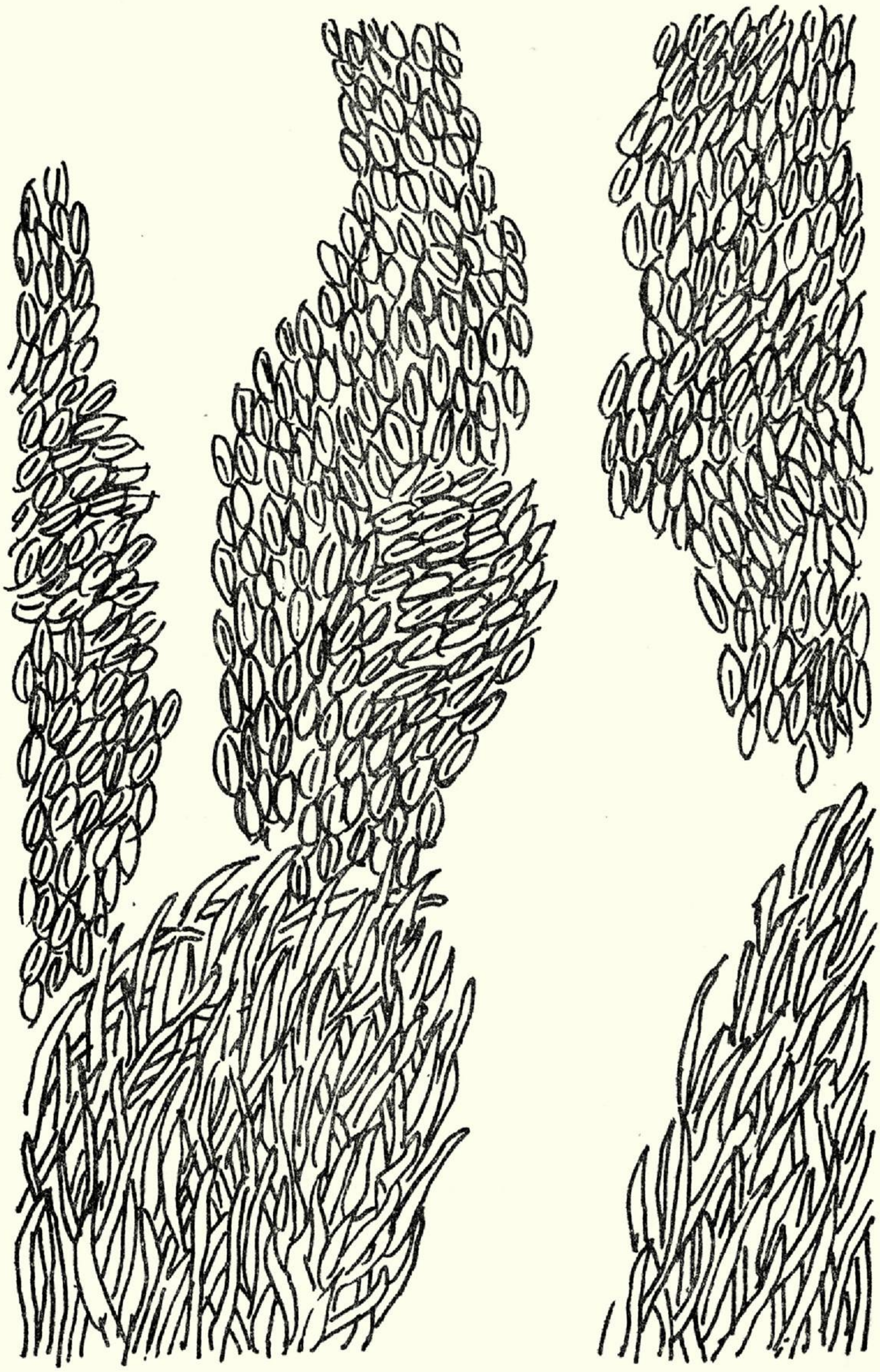

ROUSSEAU

> *Wkrótce, przestając sypiać pod pierwszym lepszym drzewem lub się ukrywać w jaskiniach, zaczęto stosować coś w rodzaju jakby toporów z twardego i ostrego kamienia.*
>
> *(Rozprawa o nierówności)*

*

A gdyby mnie spytano
W czym tkwił błąd
Mój błąd Wskazałbym to
miejsce, tę bliznę w Rozprawie, pomiędzy
przypowieścią o Aleksandrze z Fer
a wywodami o dwojakiej
naturze miłości:

Mandeville doskonale był świadom,
że przy całej swej moralności
ludzie byliby zawsze tylko potworami,
gdyby im natura
nie dała litości
na poparcie rozumu...

Tak W tym błąd Mój błąd Podwójny bo
powtórzony Mój błąd Wynikły z zaufania
do konstrukcji Do pokrywy czoła Pokrywy
mówię Do płyty profilowanej na miejscu
piersi Do płyty z owym

centrycznie, pod nią, osadzonym kamieniem
Kamieniem mówię Jakże inaczej
dziś nazwać to wnętrze, ciało
. . . . . .
po tym, co ujrzałem

Ów kunszt spawalniczy
owa maszyna
napełniają mnie przerażeniem.

I

Pytasz kim jestem Mówię
Rousseau

Chudy Niemłody
Wysuwający się z bramy
bokiem Przez chwilę
w smudze jasnego dnia

Już
w cieniu ściany o
metalicznym blasku

Bezradny Nagi

Na skrzyżowaniu
gdzie się zapala
czerwone światło

Stop: Tędy pomyka
epoka benzyny
żelastwa i gazów

Cofam się Krztuszę

Pamiętam Muszę
uważać Muszę
uważać To było wczoraj

W tym świecie, kotle
ach obojętne

W obliczu cywilizacji Mówię
Rousseau

II

...dopóki im wystarczyło
zszyć skórzaną swą odzież
cierniem lub ością;
ustroić się w pióro i muszle

póty żyli wolni i zdrowi
dobrzy
i szczęśliwi
...Mówię tu o litości

Te słowa słowa pomyślane
w lesie
Saint-Germain
pod skrzydłem ptaka kołyszącym ciszę

pod miłującym okiem
Teresy Le Vasseur

w zapachu igliwia

Te słowa poprzedzające wróżenie
o —

...dwieście lat później
dotknąłem śmierci Zmechanizowanej
zupełnie Gwałtownej Pewnej Dzięki
wynalazkom
Dwudziestego wieku Ach zrozum

parabellum szpandau Cyklon
B Nade wszystko zaś
Piece
o wydajności, którą opisał
Rudolf Ferdinand Hoess Tak Człowiek
epoki W swym Pamiętniku, wobec
którego blednie moja
wyobraźnia poety

Dwieście lat później — mówię — we wrześniu
tak To był wrzesień

Pod wielką ścianą
wypełnioną płomieniem

prześlizgnąłem się

Obok —

III

Mówią, że można
zapomnieć

Splątany gąszcz lasu
zakrywa Bieżąca woda
wygładza Pamięć się zrywa
zaciera pod wpływem Tak mówią
że można

nie wierzę. Wciąż

punkt jeden Nie
Ściana Nie Płomień
płomienie Tak

dwa. Dwa noże w mych oczach

od tamtego dnia.

Najgorsze co uczyniła mi
wojna Moje oczy

zostały bez powiek.

IV

„Długość życia koni — mówi p. Buffon — jest,
jak u wszystkich innych gatunków zwierząt,
proporcjonalna do czasu, przez który rosną.
Człowiek, który rośnie przez lat czternaście,
może żyć sześć albo siedem razy dłużej, czyli
dziewięćdziesiąt do stu"

Nie wierzę.
W bezinteresowne otoczenie
minerałów (Kamienia) muru z nich
uczynionego W środowisko dymu nad horyzontem
okolicy Nad horyzontem czoła Bez zamierzeń
dookoła ciemnych Destrukcyjnych W metal
inny niż do ugodzenia Pomyłce tu zaprzeczam
Złudzeniu Nie wierzę
w biel Klarowność Biel Tak Nieodwracalność
porządku wzrostu przemiany i rozpadu W obłok
jakoby bez W owo skrzypnięcie przestrzeni
nad nami Bez zamysłów, jakoby Zaprzeczam
złudzeniu —
Kto zna zamysły skrzydła
rozpiętego nocą Dzioba

Z wysokości stu, s t u tysięcy stóp, piszą,
wypatrzy o n o Ujmie ślad stopy człowieka
na śniegu Zaprzeczam złudzeniu Jesteśmy
na dłoni. To sprawa
aparatury Systemu transmisji, powiedzą. Zaprzeczam.
Cywilizacji. Twierdzę. Sztuki pogromu
Bez uronienia
kropli krwi. Przedwcześnie. Tak. Wyparowania nagle
żywej wody.

V

Technika. Ten
. . . . . .
pazur. Uległy pozornie.

Zniewalający
do służenia. Cokolwiek
byś powiedział. To rzecz

o upokorzeniu.

VI

W 1958 roku na Kungsgaten
W Sztokholmie
W godzinie inwazji Szybkich
mechanizmów Chromu Lakierów i
Pneumatycznych kół

pod wieczór Z nagła

ujrzałem wypadek
pomieszania zmysłów

On lizał oczami. Te

psy lizał

volvo*. Te psy Skandynawii

tak Tracił zmysły Kiedy po 100
sunęły stadami, spłaszczone
czujne
podobne w swym ruchu do
pręgowanych zwierząt

. . . . . .

---

* *„Volvo" — marka popularnych w Szwecji samochodów tamtejszej produkcji, najczęściej szybkich wozów sportowych.*

Ten chłopak

nie wrócił do kraju. Był wieczór
Wciągano kotwicę To drżenie od głębi
Te kroki marynarzy imitujące
ciszę

Jak można, szeptał ktoś
obok Jest młody, mówiłem Jest
młody, proszę pani

powiewaliśmy chustkami
Nie spojrzał

szczęśliwy
spętany

wpatrzony w zielone
volvo

VII

. . . . . .
. . . . . wrócić.

Cokolwiek byś w końcu powiedział
Cokolwiek byś powiedział

Rozumie —

VIII

Jako że byłem,
że jestem ów Żyd Spod Ściany
Nagi
nawleczony na żebro Ta skóra Z ową
żałosnością
pomiędzy udami Lękam się

dalej.

Przestrzenie — Zimne
Zamknięte. Budowle w aluminium
Beton beton

bez liścia. Bez zawołań

Ściany —

O wy miasta księżycowe
o obliczu tragicznie zmarłych

Wrócić chcę odejść na pola

Przypisy

NAPIS

Siedmiuset dwudziestu dwóch młodzieńców
śniadych od gry na mandolinie na łąkach
w niedzielę
czterystu sześćdziesięciu ośmiu mężczyzn
co pokazując pulower albo cynowy medalik
mówią zawsze z powagą to od mojej starej
razem —
trzy bataliony grenadierów
dwudziestu sanitariuszy dziewięciu felczerów
czterech kucharzy i jeden ksiądz
automat
do rozgrzeszania tych uginających się pod
ciężarem tornistrów i ciężkiej artylerii
ludzi

zeszli tutaj pod ziemię

na głos wodza, który
przez roztargnienie chyba
zamiast spocznij powiedział naprzód

PIOSENKA

Z czarnego tunelu
Wybiega się na światło
Pociąg czeka

Jeszcze nie za późno

Nie było znaku
Nie wyciągnięto kotwicy
Lina napięta

Jeszcze nie za późno

Okno wiatr
Spada liść
Okno jest otwarte

Jeszcze nie za późno

Ale pęka klucz
Od wyjściowych drzwi
I kręci się w kółko

W PÓŁMROKU

„Od kiedy człowiek przestał być miarą rzeczy”
i Carnot już nie mówi nic więcej

Siedzimy w półmroku, zapach ciężkiej kawy
chłód oleandrów. Oksyd.

W całym tym wnętrzu jest
jedna tylko forma jaśniejsza: okno.

Odwróciwszy się nieco
widzę wyraźnie:

rozległa przestrzeń Renesansu
z trwałym, jednoznacznym drzewem pośrodku
zachodzi czerwono poza linią horyzontu.

DALI, PERSPECTIVES

A w końcu mówią sztuka uzdrawia

więc weźmy malarstwo

Nie pytam teraz skąd to: z igraszki z krwi
z protestu

ponieważ w końcu liczy się wzrok

powiem po prostu: stanąłem naprzeciw
i odpycham to pospiesznie

Bo jakby nie dość było
tych skamielin z mięsa
powywracanych w żółtej (pustej) perspektywie
(iskrzy się na ustach w stu pleśniach robactwo)
jakby nie dymiło wylane, o, z jelit na obraz tło

to jeszcze ten skręcony
ponad wąs ów z drutu cieńszy (zrobiony!) głos:

jak mi z tym do twarzy, Zygmuncie Freud?

Z Berta Moebego

* * *

Pola konwaliowe
. . . . . .
listki, co w Aix z fontann próbują wyrosnąć!

ludzie zdejmują ciężkie motory
i stoją tu boso.

LIST Z LONGARONE

Najbardziej sensacyjne jest ocalenie dwojga dzieci, chłopca i dziewczynki pod gruzami jednego z domów w Longarone...

Gdybyś mnie spytała w jaki sposób znalazłem się
wśród tego tłumu
gestykulujących to znowu zamyślonych
nad tym zrządzeniem przedziwnym losu, choć oni
utrzymują że
to był cud, wśród grupy pierwszych sześciu którzy
na wyścigi
zaczęli wyciągać żywe swe ręce by pochwycić
tych dwoje drobnych, wciąż niemych jeszcze i unieść
ze szlochem
i śpiewem w bezpieczne i suche (to ważne!) suche już
miejsce,
co bym powiedział Czy ja wiem
może po prostu Przeczucie w tym było Widoki
na zysk wyższego nazwijmy to rzędu Opatrzność
może Zresztą
cokolwiek bym mówił, wierzę teraz mocno: będzie
nam lepiej
zobaczysz, Droga. Stałem z innymi tam w pierwszym
rzędzie
tak, przemyślałem wszystko

i to ci powiem: w i e l e ach w i e l e rzeczy od
takiej
jak ta oto chwili można odrobić. Ty wiesz o czym
mówię.

Pomyślisz znów pewnie: mój Boże, życie nam przeszło
i dziś
skoro opadły, skoro odpadły nam skrzydła i
zakrzywiły się mocne, przyczepne do twarzy do krwi
samej
szpony i dodasz (być może) skoro bez piór
ten nasz, ten gołąb nasz nagi miłości małżeńskiej
otwiera z pragnienia wielkiego swój dziób
„to on teraz raptem list taki pisze"
Skoro tak myślisz, to znowu ci powiem: w i e l e tak
w i e l e
od tego dziś dnia odpadło ze mnie
. . . . . .
robi się cieplej. Spostrzegłem przed chwilą jak
zabłocony
(po stu milach pokrętnej, górzystej drogi) przystanął
u zbocza
pospieszny autobus. Wynoszą z niego pledy i wino
i chleb Jest
zatem okazja! I ludzie znowu krzyczą unoszą w górę
ręce
i biegną z nowiną ku dwojgu tych młodych, złożonych
bezpiecznie
pod ocalałym pod szeleszczącym oliwnym drzewkiem

posłuchaj mnie jeszcze. Kiedy tak patrzę i widzę tuż
obok
małego chłopaczka, jak bierze do ust, przebiera
palcami

i słyszę raptem głos (pomyśl!) fujarki
jak w czasach Tacyta, o którym czytałem, że spisał
nasz świat i kiedy
pięść, nie,
dłoń: rozżarzająca się dłoń
na wschodzie zaczyna zapalać rumowie i szlam tej
czarnej powtarzam czarnej tak czarnej ciągle od
niespodziewanej śmierci
doliny (a życie wkręca się na powrót w każdą
tutaj szczelinę i zajmuje sprawiedliwie należne mu
nieustannie miejsce), słuchaj
kiedy tak stoję pośród tego tłumu oddychających
szybko
i obłapujących się z płaczem po dokonaniu się cudu,
kiedy na koniec widzę tych
dwoje drobnych, tych c z y s t y c h,
okrytych wspólnie ciepłym, wełnianym pledem
i złożonych na boku,
w miejscu, gdzie stary pies owczarski macha ogonem

wtedy już wiem (mój Boże, niech będzie to i bez
związku!)
wtedy już wiem Zaczniemy od nowa
zaczniemy od nowa

żyć, Ty Czysta Gołąbko

FRAGMENT

niepotrzebnie biegłem. Tej ściany ognia
nikt nie obali. Na słońcu na ustach
patrz, mszyce popiołu
zapisz Niepotrzebnie biegłem
czerwone kruki łomocą skrzydłami

dwa dzioby światła trafiają go w dłonie

odwraca się z wolna
nie spał Oczy ma otwarte

w ucichłym ogrodzie
płatek przy płatku
maj

Drzewo obiecane

taak To był inny To był inny
świat —
Rozbieganych po niebie
gałęzi — Wirujących u szczytu
zapachów

zatrzymaliśmy w końcu nasze łamiarnie: to było tu.
Łąki,
winnica,
ocienione domostwo. Dokładnie bardzo,
według Jego odczucia, porozmieszczana natura;

zakres mego rozumienia nie przekracza
przedmiotów,
które mnie bezpośrednio otaczają
— wyjaśni potem, po latach wielu

w *Przechadzce siódmej;*

zapach najbliższej trawy unosił mu twarz

— i ten obraz znamy z przekazu. Przechytrzył zatem,
przechytrzył nas wszystkich. Ograniczony, podobnie
jak my,
przecież okrążył i zajął Ziemię
nam dotąd nie znaną; ujrzeliśmy dobrze. Tego ranka,
tu nad brzegami jeziora Bienne,
jawił się nigdy nie spotykany dotąd w naszych
państwach

z zakrzywionych żelastw
lekki i odmienny (więc
czy rzeczywisty?) świat:
rozwidlenie dwóch długich
pręcików główienki,
wybuch
balsaminy, torebek bukszpanu
tysiące małych igraszek
owocowania, które obserwowaliśmy
po raz pierwszy.

PUNKT

Brak odniesienia —

wielość;

lotne mechanizmy o zmiennych układach skrzydeł, przemijające ze świstem;

trzask figur; i

rozrzut;

brak odniesienia.

Powrócić tedy.
Jedną parą oczu. Ku zielonemu punktowi.
Na nieodmiennej płaszczyźnie.

WIDOK MORZA ZE SZCZĄTKAMI „CARAVELLE"

pamięci J.S.

wyspy; nie podlegająca przemianom roślinność mórz
na Południu!
Wytworny kredowy papier,
znakomita fotografia. Chwyt szefów reklamy był
prosty:
przemieszać złudzenie z prawdą; narzucić
olśnienie, to znaczy: w umiarze przepych
i w umiarze prostotę

Poezja zatem wydaje się być wciąż jeszcze
celem wielkich towarzystw lotniczych.

Popatrzmy na zdjęcia: *mare*

jakiś Norweg o pomarańczowych bokach ciągnący
za sobą wolno długą smugę dymu niby
w czasach parowców;
nisko, z samej czerni wstające obłoki;
nieustanne złudzenie
białej architektury... spokój. Odkładam prospekt.
Czuję

nagłe pragnienie lotu ponad wodami
i zlądowania w Ajaccio. Mocne. Choć daremne
przecież;
wiem już; i nie na czasie, bowiem

w tej samej chwili niemal przychodzi mi na myśl
utrwalony przez kamerę widok: moment,
kiedy pierwszy z ekipy
płetwonurków
odgrzebując na Morzu Martwym ze smarów i zgęstniałej oliwy starte do pra-wzoru, do czarnej pestki
twarze Przedmiotów
krzyczy na migi raz w niebo, raz w głębię

tu są. Znalazłem ich.

ZAMOYSKI

Jeszcze go słyszy, poświstującego na wietrze,
przy swoich mobilach. Teraz jest chwalony w Wenecji
i u Guggenheima.
On pozostał na miejscu.
Najtrwalsza jest bryła. I to go skłoniło. Pozostał więc
na miejscu. Jest zimny. Ma wiele lat. Jak zima.
„Przegrana z wyboru" — kto tak o nim pisał? Zresztą
nie o pośpiech tu idzie.
Tak. Myśli o stylu. Ręce ma zimne,
stopy ma zimne. Dookoła jest zima. I czarne ptaszy-
sko, wrona pospolita w zaśnieżonym tle, z krzykiem
unosi suchą metaforę:

drzewo.
Równina.

KROPLA

Skręcając szybko w lewo biegło się na łąki
mówiono *jesień* ktoś wołał *wiatr*

— — —

Bielawy były zawsze
pastwiskiem latawców. To niezbyt dokładne
pergamin Sznurek Lecz sposób życia Drżenie ich
skowyt Ten posłuch nagły na eheu malca
A jednak często
myślałem o nich jakby o zwierzętach
przed ujarzmieniem. A więc O psy, mówiłem Patrz
wilki Z tym całym zgrzytem siekaczy
warkotem O rajskie ptaki Lecz te najszybciej
tracą na drutach sex Co Ogony Smoki na serio
zajadłe Słońca ach Gwiazdy wróżą koniec epoki

to o latawcach. Mówiono jesień Jesień
szła już w ogniu Papiery klonów płonące w powietrzu
Przemiany przemiany Pamiętam jeszcze
na skraju jezdni
człapał jeż
Nadeszła kobieta Przyklękła, uniosła: „Nie bój się
nie bój" Patrzałem za nią *Pielęgnując dobro*
dochodzicie sensu Po dwa po cztery stukały kasztany

I pierwsza kropla upadła cicho

BRUEGEL, ZAPIS

I kiedy błysnęło —
spadł

u j r z a ł e m s t o p ę

wstawało morze
był wiatr
był wiatr

napiąłem płótna
rozdarłem płótna

. . .

ten spokój świata pojąłem potem

nagle przyspieszając otoczyliśmy miejsce.
Z dziobakami
z jastrzębiami kamer na ramieniu
z kciukiem uwalniającym wąski a długi sprytnie jęzorek taśmy, który czule (ultra) utrwali
wrzask trawy i zgrzyt kropli na pochylni listka
pilno tobie teraz

odtworzyć ową rzecz. Chwila jest dogodna
lasy naokoło i lasy. Z szelestów tło. Chwila
jest dogodna *Stłumioną trąbką*
przywołuje nas wrzesień Tak myślisz

zostaw. Cała ta zwarta, obracająca się na osiach
oleistych brzezina, o licznych
kontrolowanych jednakże wszędzie
wybuchach niezniszczalnego (zaufaj) światła
bez końca
przesłania nam widok. Tak już pozostanie

nie zdołamy. Nigdzie wyrębu na wolną
względnie chociażby dogodną przestrzeń,
którym odtworzony przez ciebie w umyśle mechanizm
mógłby wpełznąć chyłkiem,
naciągnąć ów płomień i
nieruchomiejąc (na moment)

roztrzaskać krajobraz. A tamci, konni, naprzeciw: Jak
mogliby rozwinąć swój pierzasty, swój cwałujący

z nagła szyk. Użyć krzywej stali. I tych długich
w oksyd po trzykroć zanurzanych szpil

w takiej gmatwaninie gałęzi, lepkich liści, traw

zatarty już dawno odległy jak Brundyzjum czas
to miejsce, tamta historia. Dołem, od korzeni
od wrzosu
podchodzi do nas cisza
i składa swe jaje. Jej wyczuwalna kulistość

. . .

zostaw. Dla rachunku jedynie,
d l a z g o d n o ś c i z nimi
odnotowujesz dziwny dziś, dumny
przedmiot: czaszkę mężczyzny z ułańskiego pułku.

Krojanty — miejscowość w Borach Tucholskich, znana ze starcia polskiej konnicy z niemieckim zagonem pancernym we wrześniu 1939 r.

ZA WALENSA

i dotrwać. Być świadkiem

rozćwiartowania wołu w poprzek kontynentu;
tak kończy Cesarstwo — o tym co nastąpić musi
wiedział już od dawna: jedna po drugiej
padały prowincje — *Odczekać tedy nieco* —
nie stawiał na to, że nagle jest cisza
— *i podejść bliżej. W dymiących trzewiach*
liczne bardzo miejsca na schowki i na gniazda
ropień. Odór. Bakterie. Trzymać wszystko spokojnie
doczekać tak końca. To jest początek

unikał wróżb. Wolał sam dotknąć
i wrócił do Rzymu. Znawca świetny portretu,
zawsze doceniał obraz: za Walensa (gardził nim)
ujrzał: młody niewolnik
prowadzi źrebię w skocznych pyłkach lipca:
rozrośnięte
i płowe —

wbiegli na Schody... To też zapisał.

W GIARRE

— Odchyliwszy gałąź ujrzałeś pęknięcie
w czym tkwi przyczyna
— W słabości
— Nie
— W żelazie
— Nie zgaduj. W spłynięciu wód: podskórnych wód
do pachwin rzeki.
Oto następstwa ciągnięcia kolektora
tak mówią tu architekci
i milkną. Zresztą ci drudzy z Giarre, ci z dołu,
tłumaczą rzecz całą
dokładniej: obsuwaniem się piasku,
popłochem kryształów i pokryw zaschniętych (od kiedy
skąd) żuków — pod korzeniami
trifolium i domu. Ta cała dzielnica hen stoi na piaskach
lotnych, dodają. Zapada cisza. Bo cały nasz świat
stoi na piaskach, to szepnął ktoś z boku

jest parno. Zadarłszy głowy
spoglądamy na Etnę

BENN

Cała wiedza tkwi w uchu. Trwały nawyk niemyślenia
o dacie,
w której owa chwila nas znajdzie (...) Przesuwanie
się oka od
punktu A do
F i — momentalnie — do C; przemyślność (mimo
obezwładniającego, jak sądzimy wciąż, strachu)
w sposobie
kurczenia się za biurkiem, za książką, wiązanką
stokrotek, kierownicą
rajdowego samochodu. Wszystko ważne, zgoda,
przede wszystkim jednak

cała wiedza tkwi w uchu. Grzmot kropli z kranu
domowego. Trzask niespodziany piórka
na szybie altany. Kroki (szmery)
nad głowami. Na dachu. Właśnie to.
Sklasyfikowaliśmy wszystko
i rozróżniamy bez błędu. Trafna robota. Jeśli
wierzyć
w sprawiedliwość,
to poznają się, ach uwierzmy w to,
na naszych intencjach. Ostatecznie: szło nam
o możliwie
jak najdłuższe uchowanie się zwierzęcia.

Ciekawi mnie jednak co innego —

Die Krone der Schöpfung, das Schwein, der Mensch
— rzucił nam Benn, po czym wrócił do ziemi. Napisał jak
potrafił, a potrafił tak wiele. Doświadczony poeta,
otwierał klatki piersiowe długim,
zimnym nożem
i kładł w nie astry. To się ciągnęło. Przez długie lata
odziany w swój biały kitel, nie odchodził od stołu... Było
duszno. Podążaliśmy do wyjść. Reflektor bez przerwy świecił.

— Czy napisał jak wierzył? P o z a sceną?
Ta ostrożność, te pytania nie znanej nam wciąż jeszcze poezji.

— jak Tam jest, mamo?
— ciężko, synku...

przypomina sobie, że dotknąwszy jej
podprowadził ostrożnie do drzwi.

Kiedy już schodziła, nie słyszał wcale
jej kroków

i to go właśnie uderzyło.

Pamięta jeszcze, że podszedł potem do okna,
by się przekonać
czy śni. Ale szyba była szybą,
na dachach stały jak stały
anteny; w dole,
wyjeżdżającego zza rogu,
ujrzał opla: piękny lśniący model 1964.

CZERWONY „TRIUMPH"

1

Z prawej na lewą z lewej na prawą stronę drogi
odskakująca linia
pod osiami kół
daje obraz pędu i rozchwiania słów
całego poematu. Przykład jest jedyny: jak Stirling
Moss
w biegu trzynastym. Ale

nie o obraz tu chodzi. W równej co on bowiem mierze
mógłby wyrazić to swąd

żarzących się przewodów albo i krzyk
samego młodzieńca. Porównań jest wiele. Pęd je
odrzuca
na krzywiźnie toru, unosi wiatr. Jedno tedy
w tej chwili można powiedzieć:

młodzieniec się spieszy. Rozprasza skupia liście
wapień obłoki
nawiewa je w całość rozbija całość, czując wyraźnie
końcami palców:
z rozpadu świata żyje poemat.

2

Myślę coraz częściej o przedziwnej scenie:

Z oliwnej dali nadchodzi biało starzec
wołamy doń Marku i osłupia nas cisza. Tak, patrzeć
mu
na usta, wnioskować o życiu z odlotu wąskich
palców, o losie
z brwi —
cokolwiek by ujawnił, przyjąć jako
własne. Celowość. Zwięzłość znaku. O zwięzłość idzie
w końcu.
Wyrazić c e l o w e to odejść do starców przed
chaosem krwi
— powiada instynkt

*

spoglądam na Bursę: wykręcił teraz w lewo: wpada
na trasę —

KAMIEŃ LE CORBUSIERA

Kaplica w Ronchamp. Grzyb
we frankońskim lesie. Nie do zdeptania. On jeden.
Pomimo rozmiękczeń
powstałych za Matisse'a a pod czapą budowli,
ciągle przypomina kamień dla obrony.

ZEZNANE W KOLONII

pamięci Marka H.

Zastanawiająca sytuacja w jakiej znaleziono
Jana Dunsa Szkota po odgrzebaniu go, po kilku dniach,
w Kolonii
świadczyła niewątpliwie o aktywności ludzkiej woli
w przypadkach bez wyjścia,
takich jak przybicie do krzyża, zrzucenie z mostu,
pożar samolotu
albo też chowanie, jak było, w śnie letargicznym;
wobec tego nie będzie chyba szaleństwem zakładać,
że słysząc wokół
drobne syczenie pęcherzyków ustawicznych soków
niby w chłodnym syfonie od spodu ziemi
ku górze, na samą jej powierzchnię, do czubków trawy
pospieszających —
Obudzony
czuje w pewnej chwili coś jakby szansę; układa nawet Plan
w oparciu o swą wielką wiarę (...)

jest jednak s a m.

Odwaliwszy wówczas wieko
ujrzeliśmy tylko jedno: miał pogryzione palce.

NA DRZEWO

fruwajmy ptacy! To stoi bez kory

zaś drudzy milczą, Wspomnienia,
odwracające się głowy

skąd światłem biegło: tylko piony.

LEVEY I STARY B

A przecież to co uderza najbardziej
to w s p ó ł c z e s n o ś ć całej tej sceny

sześć czarnych świec. Anton S. Levey szpo-
niastym palcem kiwa na Jayne (obecni dyszą).
Kobieta
jest wspaniała; przeciąga się teraz; powolnym ruchem
rozchyla szkarłat —
ssanie;
ogromna, mleczna pierś
tryska na ustach Kapłana Diabła

*

Być może: ratunek leży w prostocie, w powrocie
do zielarstwa. Wiem, przydałby się pies
wylizujący ranę, ten świat, swoim szorstkim jezykiem

Tymczasem jesteś w środku; sam; otacza cię ropa
tęczująca mocno — — — — Ty
rób coś! Chwyć się czegokolwiek

zapytaj już lepiej o drogę do Mayas, ułóż nowelę,
licz gniazda kawek lub kroki przerywane na żwirze
za drzwiami, do których przytknąłeś właśnie
nadwrażliwe ucho

*

„Cokolwiek utraciłem ma swój początek w
zwątpieniu"
to Jan. Obraca wolno twarz
i stoi w miejscu. Jego wzrok. Jego zmęczenie.
A motory wciąż idą. I pędzi żelastwo (wysoko
na chmurach — montuje się w pośpiechu
niezbadane znaki)

Wydziedziczony z nadziei,
rzucony w pusty, niepochwytny, raptem, świat
wrócić musiał w końcu na żebry
u losu

Nie bierz tedy z ręki wydziedziczonego.

To co wiąże mnie teraz
dotyczy równowagi, dokładniej zaś: ładu.
Pod koniec lata raz jeszcze byłem
w Tleniu; był spokój; w ciszy kolistej zaszedłem pod
las;
na dawnym miejscu
wiekowy już B ciął i łączył drewno
odkładał je na prawo, odkładał je na lewo
stało wielkie niebo
tak powstają grabie — pomyślałem — wrota do
stodoły
a niekiedy miasto.

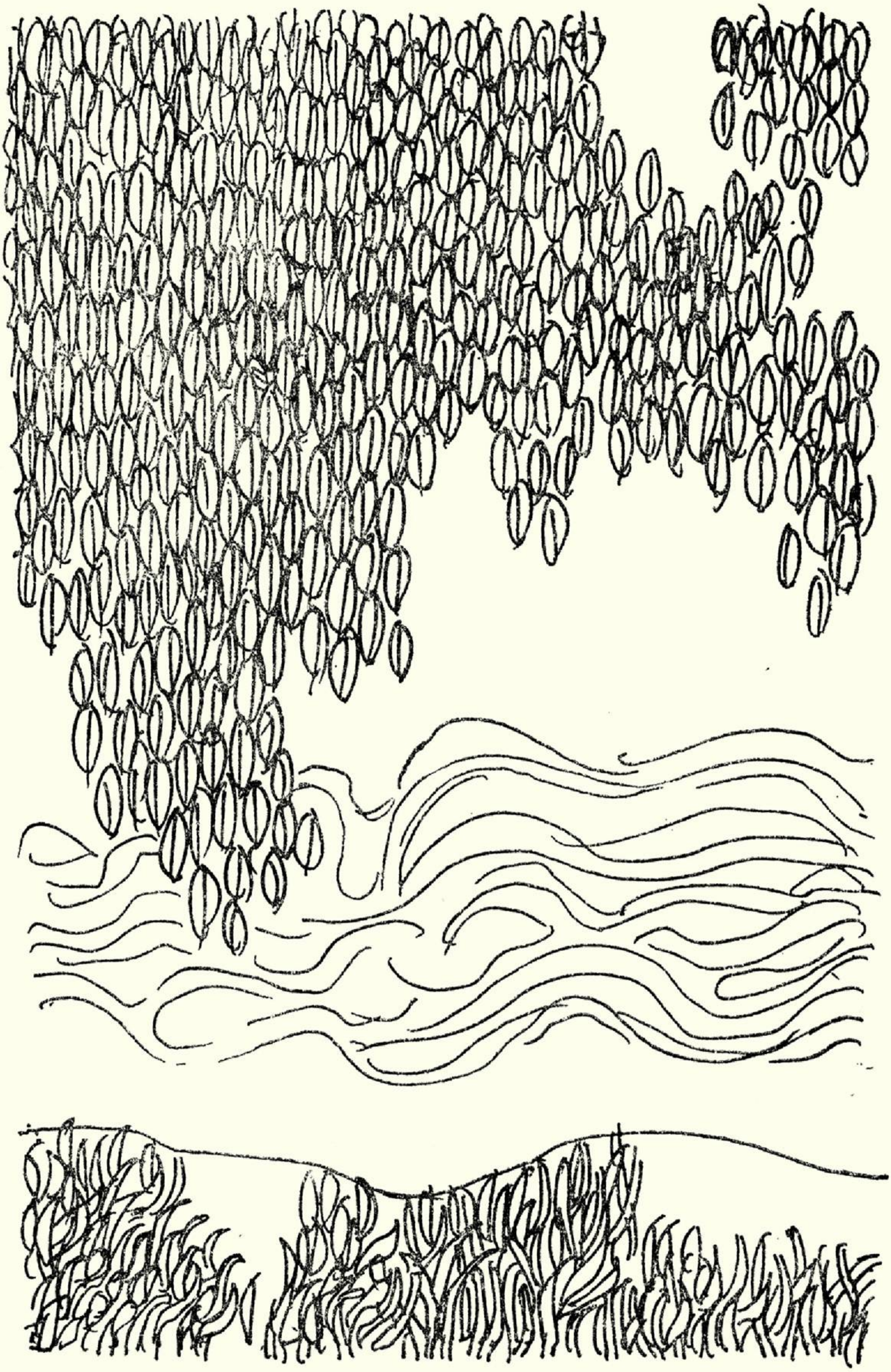

TAMAYO ODPADA

— Malujesz zieleń?
— Buduję liść.

Niepewnie nieco jeszcze, na podkurczonych łapach,
wraca rozwaga. Jak dużo. Można już budować,
nie szczędząc rzemiosła.

Tamayo odpada. Z przedmiotów w świetle
to co najprostsze wybiera sobie oko
i stawia przed sobą.

Trwa praca: szczegół
po szczególe
scala się obraz. Dwa wzgórza, w dali,
zbłękitniałe lekko. I forma mocna u samej krawędzi
zmiennego obłoku —

drzewo: chwytne jak imadło, proste rękodzieło,
co odosobnione naraz, wydaje się nam świadczyć
tylko
o kłopotach (i uporze) starego wytwórcy,
zanim nie zakwitnie.

NA TEMAT SISLEYA

— Wrzesień był wspaniały: ogród. Wszedłem do
środka;
weszło nas kilkoro, był Bohr. Ogarnęła nas cisza
pełna nieuchwytnych poruszeń drzew
(szelestu) z Louveciennes

— I żeście weszli?
— On nas ośmielił;

malowany w c z e r n i pień
d a l s z e j tam wierzby (*zasupłały, niebiesko,*
pod sznurek, wyciszony strumień — pisał ktoś potem)
był niczym innym jak... Widzę do dziś
ową scenę. Całość stoi w zachwyceniu: ranek... Tylko
t a m właśnie, o —
ciche tkactwo światła, nagryzione czernią,
puszcza oczko: błąd! Tak, „dziurka w muślinie". Był
błąd; on nas ośmielił.

— Obraz miał skazę?
— Tak wejście.

ŚWIETLISTE

Zaczątek budowy —

szczegół krajobrazu, ruch, uchwycony w obcym,
zapamiętany, trwale, we własnym kraju, własny, ów
stateczek
przesuwany ręką
świetlistą po morzu do Neseber!

MORAVIA. WARSZTAT

Ze starych tablic na szybkim portablu przepisywany
wzór;

jak mało tego. Nic poza następstwem ilościowym
znaków
na szarym pustkowiu nieskalanej kartki w
monotonnym
świetle; ruch? Ruch mechaniczny. Tak, tempo jest
odmierzone; nieruchomy nastrój. Plecami bez
przerwy
czujesz: wielkie ziewnięcie pod nieruchomą maską
Dyktującego.

. . .

Jak golf przez głowę ściągnąć, odrzucić
dzianinę Stylu w oranżu spłowiałym i poczuć znowu
nagość! Dlatego jest w Houston.
Wywiad z tym Niemcem słowa
Zdążając obok jego obcej twarzy cyfr
i sformułowań technologicz-
nego języka
wychodzi wreszcie na swoje: przed wielki srebrny
ekran
księżycowej transmisji!
Armstrong już zeszedł.
Teraz schodzi Drugi.
Moravia chwyta. Szybko i prosto
naraz (w zwyczajnej mowie)

chwyta
rozszczepiającą się przez moment lecz zaraz
scaloną — jak uchwyt (jak
szczegół) istotę fenomenu; notuje

i stanął drugi. A potem powiedział owo wielkie
*i zarazem małe: znalazłem purpurową skałę**
i Księżyc się zaludnił.

*

— *Księżyc*, pisałeś
— *skała*... Obojętnie zresztą co. Byleby poczuć to
przy policzku.

---

* *Słowa Edwina Aldrina na Księżycu.*

INNY PRZYKŁAD

A. „Zasypany po dwakroć Powiedziałbym
w śniegu Pod klinowym pismem drepczącego
dropia
pod szronem zgoła
A jednak jest z ognia
Ze skrzydła na skrzydło
przerzuca pożar ptactwo jego krwi

I nie znam bardziej szalonej nadziei"

wiersz się powtarza. Na dziesięć palców
wyćwiczony spo-
sób przesunięć obrazów, podpatrzony chwyt,
jak gdyby sprawa wynikała z chwytu
i reżyserowanego widzenia;

weźmy inny przykład: Miasto. To Miasto jest
w kleszczach — mówią poeci. Kleszcze
są z dymu. Dym
zaciskający serce. Serce zwierzęcia
z drugiej połowy rozpadającego się stulecia.
Stulecie
rozkładu. Rozkład
cywilizacji Cywilizacja
końca Tak Koniec wiedzy Wiedza początku

pod nieogarniętym imperium Słońca
— mówili poeci pierwszej generacji. Okręca,
okręca nas b e z m i a r i wiersz się powtarza

B. Wiem, szczegół jest łaską. Posłuchaj raz jeszcze tamtego stenogramu:

Rugiatti, nurek, do speca z Marynarki:
odcięli. Tonąłem tedy niedaleko Wysp. Na stu-
siedemdziesięciometrowej głębi okrążył mnie, biało,
delfin
i wyniósł na powierzchnię.

ANDRÉ BAUCHANT I PANCERNIKI

1

są. Stoją już na redzie. Spiętrzona góra masztów,
armat
i kotwic, świadczących o potędze
i rozwoju Floty
— w leniwym kołysaniu. Jutro
mają zacząć...
— nie wierzy jakoś; uśmiecha się do siebie. I mruga do stokrotek, których rośnie tu wiele.

2

— zaczyna malować.

3

Świat, port i okręty
to tylko elementy,
do których trzeba będzie się zabrać w terminie
późniejszym.

André Bauchant (1873—1958) — francuski malarz prymitywista.

KUPKÓWKA

Sprawa jest otwarta. Niemniej jednak, niezależnie
od końco-
wej (i nie naszej) decyzji, od rozstrzygnięcia
alternatywy: t r a w y, albo:
trzydziestokilkumetrowa ściana z żelbetonu,
z dzwonami
na szczycie,
opactwa Benedyktynów w Minnesocie, projektu
Breuera,
niezależnie od kilku spraw —

jedno daje się już wyczuć:

klasyczne budowle wieku:
dom Sturgesa w Brentwood Heights, Główna Ulica
pod palami wpustowymi fundamentów
(na których lekki taniec srebra i fioletów, ożywiają-
cy materię, mógł powstać tylko dzięki formom
jakich domaga się dziś od artysty technika
i ekonomia — tłumaczył mi niedawno współczesny
Francuz)

klasyczne budowle wieku

dyszą. Zmuszony do skoku, frunięcia od siebie,
do lotu, tańca, do
stójki przez całe lata, do stójki na dwóch łapach
beton — dyszy. Puszczają mu wiązadła:

zatraciwszy całą zwrotność
pada. Przykład: Wał Atlantycki.

W tym samym czasie
kupkówka nie traci czasu. Przenika. Pyłek jej kwiatu
rozprzestrzeniany przez wiatr,
łącząc się z żółtym kurzem od meklemburskich lasów,
który sto lat temu tak zadziwił Duńczyków,
steruje prosto do Kambium. Widać już pierwsze wieże
zielonego świata

Kambium — strefa wzrostu u roślin, krzewów i drzew

W ZALESIU

nieustanne wymiany; świst; te dysze odrzutowe
nowej generacji. Nieustanne wymiany. I nowy
krajobraz:
las. Wyrzutnia w śniegu,
jej pazur czarny nad wschodzącym słońcem.
— zatoczywszy tedy koło wróciłem przez pola.

MOORE, GDY POTWIERDZA

ruch, scalający tu, w środku (...) obala nam rzecz
gdzieś z boku. Znał to. Podpatrzył dobrze.

A niżej:
Zachwiany w swej stolarce szczegół, wspornik
krajobrazu, zrównoważony jest
stabilnością drugiego

pisał:
tak-nie nieodmienne w listowiu, na pionach
to fraza, mój chłopcze, zwarta harmonia

forma. Trzymać ją osobno — oddzielać?
...chłód; wywraca się samotnie
(a to już nawet wygłusza dźwięk) i płoszy oko
dopóki przestrzeń —
wypchnąwszy ją z udziału
nie rozrzuci na ukos, jak resztki..., kość wołu
na landach,... wśród swoich bezmiarów

. . .

stawiając ją przy liściu, ujrzałem że dopełnia.

Chowanki

* * *

Około południa wychodzi zza horyzontu;
mimowolny zrazu, utrwala się. Jest. Nie chowa już
bieli,
utwierdza ją.
Po kilku kwadransach
podsuwa nam siebie: promienną pięść
z tym jakby: „Popatrz, czym jestem, z podziwu
zagwiżdż"
Ale od przodu bije coś niby mróz, znieczula całą
twarz
i nie można, nie można
złożyć warg;

szklisz się niemy, porażony bielą:
jest wielka

Scott lubił te zagadkowe okręty.

WIDOK Z REDY

I być może, iż jego znaczenie polega właśnie na tym
świetlistym trwaniu w żarze południowym,
ale to nie jest pewne. Czuje się (boli aż) coś
jak gest odepchnięcia;

dlatego stoimy w milczeniu, w miejscu. Te znaki
(napis) z niewyjaśnioną jak Bóg sentencją, te
znaki (cyfry jakby)
cięte
przez wiatry i przez sól!

i żar, tak: słychać
chrzęst
obsypującej się stale ochry;

skąd —
dokąd ten świat?

wołam głośniej

Zostaw — mówią — to
puste miasto

oglądam się do tyłu: nic tylko morze.

STEICHEN

Na białej płycie rozchwiana plama cień Podrywasz
głowę
i widzisz c z e r ń motyla białego pod samym
słońcem

obiektyw rzecz chwyta po
ruchu palcem

późno; stulecie po tym, co było
przed chwilą

*

— a przecież był szybki. I jak nikt inny zdolny
uchwycić na kliszy ciemnej Bóstwo Wyrok Ogień
Babilon

łapiemy z zewnątrz. Wszelkie zamknięcie odbiera
nam widok,
kroplę
i tlen

posłuchaj: twierdzenie, że
to, z czego najpierw ciągnąć powinien utwór,
znajduje się „w"
jest mową profesorów o krótko brzmiącym
nazwisku (...) Przypomina mi się scena,
ostatni wykład przed Mobilizacją, gdy jeden z tych
blondynów, oparty o pulpit, w krawacie
w zimny fiolet,
otwierał wciąż, zamykał stale
śliniąc kartki palcem;

zgarnąłem skrypty
i poszedłem za miasto.

Uderza mnie umiar
posłyszanego niegdyś zdania: drzewa można dotknąć

bierzemy z zewnątrz. I
pojedynczo. Drzewo w przestrzeni;
proste związki: dwa albo i cztery klony,
nie wydeptaną jeszcze po wzgórza trawę, po której
idzie

człowiek z kozą, przystaje na chwilę, oddaje mocz
i rusza dalej, wchłonięty po chwili, jak każde
nasienie
w świetliste tło;
tyle jedynie. Ostatnia po nim kro-
pla na rumianku niech starczy za całą przyczynę
poematu

. . .

ktoś targa mnie za ramię, otwieram oczy
i
słyszę motory. Za chwilę mamy ruszać. Jak zwierzę
czuję:
pójdziemy w głąb.

— Zbyt wiele naraz.
— Lecz instynkt wybiera. Szuka jednego. Zaś to,
na co trafia raptem, bywa *tak czyste jak*
promień na niebie i winno być wzięte
ten tekst się potwierdza. Przykład:

pracownia. Ruchy cząsteczek. Równania
z dźwięków. Trójlistny instrument w wąskich
palcach... sen? Nagłe wzruszenie. I
oto co widzi wewnętrzne oko:
niezaprzeczalne ruchy
(poprzeczne) światła
w czystej próżni, w wolnym eterze!
— Elementarne lśnienie?
— Tak, zacznij wiersz.

Ten typ rozmowy wyśmiewa w duchu Phillipe Sollers.
Stoi przy oknie: widzi mgłę. I słychać morze.

Z Tomasza Crosby'ego

* * *

A potem las podchodzi blisko i wszystko jak Makbet
trzeszczy
dygoce drobno w igłach i w listkach dopóki czerwieni
rudej
płomieni z nieba nie zdmuchnie wiatr
i nie ustanie

Ale napięcie trwać będzie jeszcze przez długi czas
serce wciąż spieszy i ptaki kreślą czarne inicjały
jednym błyskiem.

KWIAT

Przebity bok wypuszcza kwiat

ale to krew. „Czy chciał oszukać?
On doznał tylko. Mówimy sztuka".

tak, aby być trochę. Dlatego idą
wolniej; słychać szmer liści, kobieta milczy

jest zamyślona. Dzień mieli dobry raczej;
przez całą łąkę płynął strumień,
na jego dnie leżało światło. A potem jeszcze
ujrzeli miejsce, gdzie z wielu przedmiotów (po dwa,
po cztery) spamiętała jeden:
ostrze z metalu,
ślad Gotów z północy, przemykających dołem
tamtego wzgórza; tak im powiedziano. (...) I

kiedy to było? Zapewne
rzecz jest bardzo cenna. Droga skręca teraz, opa-
da łagodnie,

zapach dymu palonych łodyg, nagły
od pól
czeka tam,
gdzie byli wczoraj.

Mężczyzna przystanął. Czuje lekkie zdrętwienie ręki
lewej. „Usiądź na chwilę. I nie mów" jej głos

otwiera jego oczy: ściemniało. Już wieczór
i czuje się chłód od ziemi.

* * *

Obiecał: przetrwam. A teraz
wierzę

jakieś wielkie miłosierdzie uderza przed siebie
i
łamie ciemność: widzę — jak góry w rosach — widok
na równinę!

obracam się wkoło

bezkształtne światło ogarnia mnie zewsząd
i oszczędza.

W DRODZE DO MATARIEH

A pod koniec tego wieczoru ujrzeli stare drzewo
sykomory,
dobre by spocząć pod nim;

nie można było. Milczący człowiek z gospody
przydrożnej
jak szakal spoglądał i mógł o nich donieść
wykręcając chyłkiem ten numer... Kluczyli nocą
przez trzy
czy cztery dni

*

zbudziła Go cisza, był ranek. Obraz jest
jak ze snu:
cienisty parów,
szczyt skały na prawo wysoko świecił,
jakieś zwierzęta kroczyły im naprzeciw

„tu nas nie znajdą, nakarm go, Mario" cicho mówi
mężczyzna
i siada na piasku

JAPOŃSKIE STOLARSTWO

Martwe drzewo próchnieje i grzebie je ziemia,
więc jeśli zdążymy je kupić, będzie miało
powtórne życie
tak mówi Nakashima. Wnętrze jego pracowni
jest proste: jest złote; wypełnia je zapach
drzewa kejaki; u stropu świergot wyraźny: to ptaki.
Jego stoły, jego ławy są ciemne: są
mocne.

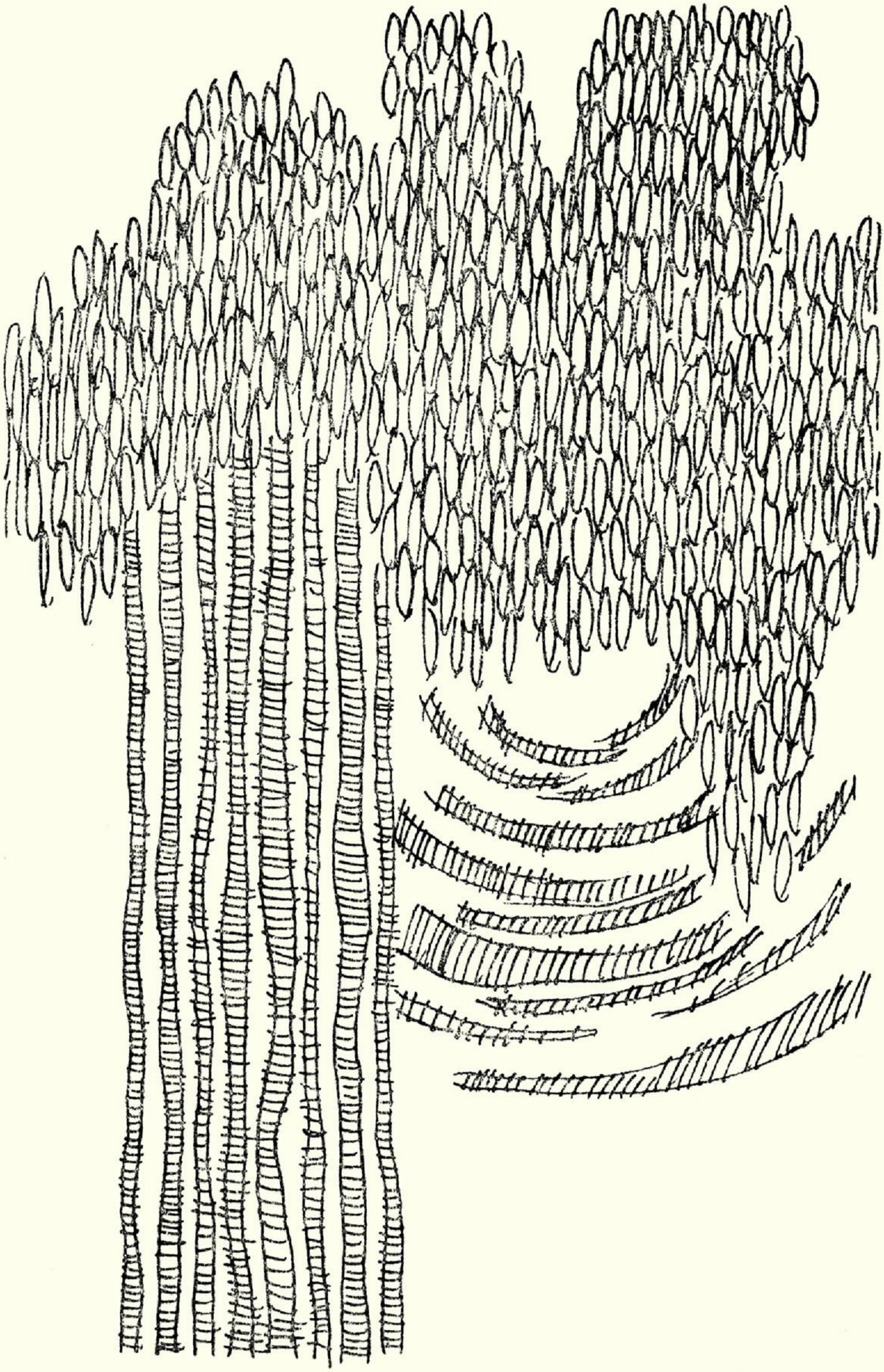

USŁYSZANE W GRUZJI

Pola w blasku. Gaje w cieniach.
I proste piękno tego przeczenia:

„Założyć by tu miasto"
„chodź, niech będzie syn"

Suka
w kobiecie
ma coś z delikatnego ptaka,
który krwawi

uwznioślił, to prawda. Potem w każdym z nas
obudził
wspomnienie; pokory. Całowania tej rany.

*

same są. Do końca pozostawione sobie
z tym krwawieniem.

Wobec stałego, choć niepochwytnego wpierw: *jak*
mgła,
rozpadu tkanki,
ich próbę osiągnięcia szczęścia i
trwałości,
maski użyte w tym celu, grę, ich instynk-
towne chwyty
określić trzeba nazwą: A m o r b o l e ś c i w y,

podobnie jak książki pisane przez nie albo ich
malarstwo.

Widziałem jeden z nowych obrazów Joanny W;
był to portret; w czerni: postać Pozującej
przypominała z n ó w tę z późnej noweli Tomasza
Manna

olśnioną młodym mężczyzną kobietę
już po przekwitnięciu, która pewnego dnia
spostrzega: krwawi. I sądzi, że to z cudownej odnowy
swej kobiecości,
i nie zna jeszcze prawdziwej przyczyny,
bo lekarz milczy;

ten obraz był dziwny. Cofając się przed nim
wróciłem do domu. I chociaż za oknem prószy śnieg,
nie mogłem zasnąć;

słyszałem oddech żony leżącej obok mnie
z otwartymi oczami

i biło mi serce.

ECO

Spłonione światło: różany śnieg
jak ze snu

i
wszystko
jakby zatarte lekko, bowiem

w malarstwie zenu
plama
ma przewagę nad kreską,

obłok, góra i człowiek
mieszają się z tłem.

A jednak ta przestrzeń jest
samą symetrią,

ten obraz: to
dźwięk,
który widzimy

NA NOWO

— A oto drzewo, o którym śniłem wiele lat temu
nie wiedząc o tym, że istnieje
i że je ujrzę —
przez ogień tknięte (przez piorun chyba)
z jamą pośrodku...

— Co do mnie, w i d z ę po prostu i
po raz pierwszy. Na przykład: obłok. Dla jego
ujrzenia
jestem cały stworzony na nowo, w tej właśnie chwili,
kiedy on płynie...

albo i trawa;

rzeczy mnie cieszą. Jak owad ślinię, a potem
pokrywam.

ku drzewu dążąc;

w ciszy, tak;

wytrącony z lotu, odchodzi w bok i opada
tu; spójrz: ta

porzucona szarość z drobiną krwi na
końcu dzioba,

cień, sam róg balkonu. Wybiegamy po wodę w
naparstku,
wracamy,

to miejsce jest puste. Ich delikatność
przeraża. Umierają jak my, ale ich ciał nie można
znaleźć.

Litera

A idąc wolniej schodzisz ku wodzie

WYDMY

... plaże tego lądu, wydmy, tak, wydmy w słońcu; i
wielkie dale ciszy z cienia od obłoków...

A przecież to piękno nie stanowi tu
nic.

A to,
co nadaje dziwną wyniosłość temu wybrzeżu, to
przeszłość, złom: leżące w piasku zużyte
produkty.

Te stare przedmioty: beczka po ropie,
przeżarty solą pręt,
biel (szarość) cyfry na resztkach poszycia barki
desantowej

odkształcają widzenie. Patrząc na nie
myśli się długo o pracy u ognia. Woda,
co wpływa w kreśloną palcem na piasku
linię,
wypełnia ją czarno jak
żylna krew.

Wraca wspomnienie ciężkiego lądowania,
próby przetrwania,
braku wody.

Z POŁUDNIA

Ich odejście nie musiało być nagłe.

Nienaruszony dotąd układ rzeczy
świadczy o spokojnym postanowieniu. Umiar
klarowność, po dalekie wzgórze
na północy

nie odda tego rzeźba z akrylu ani
cyfra

To odejście nie musiało być nagłe,

chociaż kilka znaków na łupkach,
na piasku
przeczy temu, wydaje się przeczyć

pozostał ślad. Pozostał jakby odblask
narzędzia

i ślad
stromej czyjejś stopy, przebiegającej coś
co — w nagłym zbliżeniu — przywodzi na myśl

magmę. Nieruchomą teraz; w Torre del Greco.

* * *

Wspaniała zieleń, ciężka od
czerni; lecz zanim wejdzie w nią,

zwleka;

niby koń biały na wzgórzu rozrzewnia go
pamięć cichego dnia z minionej jesieni.
A dzień się już chyli

ku zachodowi wolno. Czy jest samotny?
lubię ten spokój — powiada (komu?)

obmywa kamień nagrobny swej matki,
przez chwilę widzi wielkie obłoki
stojące nad lasem obok i wraca do domu.

To, co zapisze potem (zapisze krótko)
oddaje stan,
jaki niekiedy można odczuć: piszemy o sobie
dla tych, których kochamy

forma jest sucha. *Pęka przez to,*
roni kroplę

POWIEDZIEĆ

chciał mi powiedzieć coś
koniecznie. Ale z tego miejsca w twarzy,
w którym niegdyś błysnęły zęby i poruszał się
giętki język,
teraz doszło mnie ledwo: ky...,
a potem: hy...
i tak parokrotnie.
Były to dźwięki i n n e j już mowy? Chciałem to
chwycić. Koniecznie.

Świetlisty metal w kształcie delty
przeciągnął niebem
wlokąc za sobą wielki grom

— — —

zamknąłem mu oczy. Boże, myślałem, jak go ten
świat
nie dostrzega. Zupełnie.

FOTOGRAFIA MĘŻCZYZNY Z MIKROSKOPEM

Holmberg. Z baczkami. W fartuchu białym. Dokonał
odkrycia,
ważnej korekty. Spogląda w mikroskop. Szwed. To
o nim
pisał Guido Gerosa, łącząc z *Bo Holmberg* słowo
polipeptyd (...) Na zdjęciu widać okno:
ciemne
cyfry
drzew; niżej —
postać kobiety.

*

Wpółleżąc, czuje:

zauważone przed paroma dniami
ziarenko
tkwi pod skórą w tym samym dokładnie miejscu,
nieco powyżej sutki. Dlatego za-
pewne fioletowa dziwnie, przechodząca w szarość
mgła
zasnuwa jej teraz

ostrą bardzo (niby gwizd!) o tej porze września
zieleń w Vällingby...
Nie, dzień ją nie ucieszy
i po raz pierwszy chyba
nie powie po wejściu (przez zieleń) do domu, stłumionym głosem do telefonu: przyjedź zaraz, jestem
sama.

Coś się wykańcza i coś się zaczyna,
tyle wie tylko.

Ogród jest wielki, kołysze jej ciało, ale ją męczy
jak wszystko inne tego dnia. Odsuwa swoje ciało,
odsuwa ogród:
po raz wtóry dotyka piersi,
na której promień słońca, przepuszczony przez oczko
w ciemnej płytce liścia,
rozświetlił nieznany oto, spłoniony lekko
punkt
o własnym jak gdyby sercu: w ł a s n y m tętnie

mam stać; nic więcej. Tu i tam drobny ślad ognia
jak pazur

bucik szal lusterko

postawiono mnie na środku
tego krajobrazu

mam stać. Mam twarz pękniętą od jego milczenia.

GŁOWA

Z wiedzą o rozpadaniu się pysznych miast i to,
że giną, budował Frederick Kiesler swego *Dawida;*

był w formie i rzeźba jest dwoista.
Oto łagodnie lśnią: wygięta w śniadym metalu dłoń,
dłoń h a r f i s t y
i
drobna, skręcona nieco, jak w przyciasnym
lakierku, stopa. Oba szczegóły wydają się być zresztą
muzyką
dla uśpienia oglądających

i są piękne;

stójmy chwilę jeszcze. A jednak
cel całego zamysłu jest zgoła inny, choć Kiesler,
jak wiemy już, myli uwagę. Zdradza go nam
od początku samego wielki wektor owej kompozycji —
nie naruszona w swej jedności głowa:
zwięzła,
w kwadracie, z podwojoną
szczęką. Oko —
okrutne ptasie oko
pogardzanej rasy, które zaczęło, widać to wyraźnie,
kombinować.

Z ŁĄKI

W odwrocie, w próbie przedarcia się,
z ruiną po prawej twojej stronie, z ruiną miasta
jakiegoś
czy lądu —
nie opuszcza nas myśl: a jednak
podszedł nas. Po cichu. Od strony Jungfrau.
Podciągnął sprzęt
ustawił go wkoło

wokoło łąki

MANSON. TEATR

Chrystus był łagodny
Chrystus zagryzał wargi. Ta prawda jedna w dwóch
sądach rozbieżnych, te zdania o człowieku,
który umarł za Tyberiusza, a wciąż nie schodzi nam
z drogi,
podniecają współczesnych.
Opowiadać o raju napotkanym biedakom
i mówić „mijaj" szalonemu światu. Pozornie wydaje
się być to
do zrobienia;

tak sądził Manson

i spaczył. Struktura jego gminy przypomina wysy-
pisko. Tym, co pozwala ujrzeć rzecz całą
dokładniej jest
chwyt, nie, s p o s ó b w jaki ustawia cały Plan
tego co robi

— — —

na wprost są drzwi; i wciąż trwa cisza. Szmer. Ktoś
kaszle jakby. Cisza
wreszcie: „zostawcie mi dziecko" to
Sharon Tate;
pauza. Agonia. Cała scena
chwieje się długo w blasku świec
wniesionych do wnętrza przez czworo zabójców...

Manson po prostu robi t e a t r. Wprowadza do gry
te wszystkie rzeczy,
których się lękał prosty Jezus: figury, nastrój
cały ten teatr w modnym wydaniu

*

Ostatecznie sprawa kończy się tak, jak było do
przewidzenia: bez Krzyża i
Chwały w San Quentin.

*

Ten szczegół:
...zdradzają go modne, dłu-
gie bardzo włosy, przycięte drzwiami ściennej szafy
na rancho Barkera, kiedy (tropiony) kuli się za nimi

zapominając o tym,
że po nitce zwierzęcego zapachu i tak dopadną kłębka
inne zwierzęta —

diabelnie chwytne.

* * *

Atakowany jednocześnie przez trzy,
cztery mrówki granatowo-czarno-połyskliwy
żuk leśny
staje, kryje czułkami skorupę głowy
i jakby Sens pchał go dla przekory tylko,
idzie dalej
w stronę mrowiska. Przez chwilę widać go jeszcze,
znika... Miarowy ruch rzeczy trwa dalej. Myślę,
że te sprawy
bywają niekiedy niby hymn,
jak moment topienia całego kontynentu przez morze
spiętrzone wysoko niby góry
i jak pauza po tym

. . .

jest cicho, las oddycha w spokoju, pełno tu również
poziomek.

1

nie pojadą dalej. Leżą w wilgnym chłodzie zielonej
bardzo trawy,
przy niskim wozie w kobalt,
u drogi do złotej, jak mówią tu, Uppsali;
Szwed się oddalił
i są wreszcie sami.

2

— — —

widzą coraz mocniej. Przybyli wczoraj;
przeszli szare morze,
kluczyli i w szarej skale, by zapaść w t a k ą zieleń
tutaj: na Północy!
nie. Nie pojadą dalej. Widzą, tak, widzą mocniej (...)

3

Jest
jednak ten Szwed; wsiada; ostro wykręca od prawej

4

volvo:
Nierdzewny ze Wzmacnianej stali na Szybkim podwoziu unoszący ich z miejsca, z zagłębienia trawy, która
już przywykła do naszego ciała (chłodu
białych ścian) sama w pomnożeniu,
trwała,
skłonna w końcu ujawnić tajemnicę trwania, ale
zatrzymanym w miejscu.

Z Berta Moebego

* * *

Skąd jest to piórko z tą nikłą pozłótką,
czarne?

Z trafienia —
z chwili, gdy ptak długo spada przez bór
w nagłym słońcu.

WNĘTRZE

„wiesz, chciałbym zmierzyć długość promienia
świetlnego
jakiegoś przedmiotu, wyrazić w znaku
i na tym poprzestać"

ociągając się uniosłem do ust filiżankę,
którą mi podał: choroba zmieniła go, wyczułem ten
rozpad
skoro tylko wszedłem.

Potem pokazał album i patrzyliśmy długo bardzo na jedno z tych wnętrz Vermeera z Delft, gdzie samo światło tworzy ład wśród rzeczy.
Rozbudzone pragnienie czystości przeniosło mi wzrok na widok poza oknem pracowni:

ogród już poszarzał, drzewa stały bez liści,
bez blasku swego, ale równania ich linii
warte były zapisu; chciałem mu powiedzieć,
aby tak zrobił, że to naprawdę dobry
temat

uchwyć w rysunku, w kresce spokojnej siłę napięć
w gałęziach, w gałązkach, szybkość ich
kierunków

kiedy poczułem, że coś w nim idzie
z dołu, by —
prosto spod ziemi chyba, od długich korzeni,
przez stopy, brzuch i
dalej — gęstą czarną falą uderzyć w podniebienie,

stanąć w ustach. Jak gdyby od zewnątrz
słyszę głos swój: „uważaj"

jego twarz jest skupiona
i blada;

przeciąga się chwila

Z Tomasza Crosby'ego

* * *

Ukrzyżowani na białym stole w dziurce od nosa
mają świat jaki ich dzięcioł do słuchu zbudzi
jaki las

Blady ogromny księżyc swą drugą odwrócił stronę
gdy biała siostra wiąże im ręce ach jak się boją
niklowych narzędzi

W CLEVELAND

Mówią, że
czuję
i że to sprawić miał w końcu White.
Jeśli chciał tego, to
dopiął swego: tak: chwytam „świat"
słowa chłód zapach
widzę
kobietę (na tle białej ściany), jej
sprawne ręce...
tak zaplanował. Tyle. Nic więcej.
Ciemne nasienie uchodzi ze mnie
i
bez rozkoszy.

W Klinice przy Uniwersytecie Cleveland udało się po raz pierwszy dokonać transplantacji głowy.

A również to, że ziarnko pyłku stokrotki
czy klonu
odznacza się zmiennością nieograniczoną,
zaś substancje wzrostu działają dla innej
harmonii —
nie jest korzystne dla ciebie.
Zostajesz odtrącony sprzed drzwi lasu
albo łąki.

Zadziwia fakt
jak bardzo strzeżona jest owa alchemia rozrostu
(i rozpadu). System zabezpieczeń cały jest
w zapadniach szybkich, hydraulice
i kratach;
tu działa siła
wielu atmosfer. Młot. Zazwyczaj jednak

szczują. Albo inaczej jeszcze: wchodzisz
i rozwalają cię
— na słupku
— w zalążni,
oblepionego jak pszczoła zapachem lata,

za przyzwoleniem całej łąki, w dzwonach
(usłyszysz je) z niezapominajek.

UCHWYTNE

. . . . . obraz się zaciera. Czego się spodziewasz?

(ból)

przyjąć to
co uchwytne: ciągłość bólu w przerywanym rytmie,
p o t w i e r d z o n y ruch

. . . . . .

znowu jesień. Dni są coraz krótsze
i lecą liście.

Z KSIĘGI JOZUEGO

I

„Panie, pozwól, że wezmę" ale nie uderza jeszcze,
bo tamten jakby drzemał. Miasto stoi w swym
świetle
stokrotne niby chwast.
„Panie, pozwól" — powtarza znowu Jozue;
cisza. I
ciemne spojrzenie Boga ogarnia stopniowo
dolinę. W koronach wstaje wiatr. Tak, teraz się
to stanie.

Dopadam dołu
i szybko układam psalm o Bożej wspaniałości.

II

Po czwartej

zawrócili. W kierunku na Arkub
słychać jeszcze pomruk oddalającego się nieba;
zanika.
Zbocze stygnie powoli w cieniu,
jest cicho... to sprawia mi ulgę.

Nie wiem jak długo drzemałem. Wciąż jeszcze
trwa dzień. Na odległość ręki
widzę tego samego wciąż ptaszka
bardzo drobnego:
pleszka? mysikrólik?
podciągam się trochę bliżej. Nie sfruwa;
krwawi coraz mocniej.

* * *

ziemia; to ciało nagie. I pchnięcie. Ostrzem. Zaraz
nadejść powinna rosa, by uprać tę pościel (...)

dziwne; myśl o zbrodni i zacieraniu śladów nasunął ten
kiełek, pierwszy z bezmiaru roślin jednoliściennych,
które tu wzejdą.

Dla samego obrazu chyba,
dla ukazania swojej czystości.

* * *

i coraz częściej spoglądał na gałąź
za oknem:
Czy drgnie, nie ruszona?
gaśniemy w magii. Przyciąga znak, coś, co jest obok a
poza serią

— głos przycichł lekko;

nadchodził wieczór i mowa była o jakimś starcu
spod Engen; a potem długo mówiono o śniegu;
statek już wpływał w zakole fiordu i uniósł mi twarz
widok skały po lewej stronie: palonej ochry
z punktem bieli u szczytu jak
gniazdo;

b i e l: więc
śnieg?... i
stamtąd, nie, s p o n a d jakby
zeszło wspomnienie: to styczeń już chyba; leżę,
półsenny,
w pokoju na górze
i matka mówi, że wyzdrowieję.

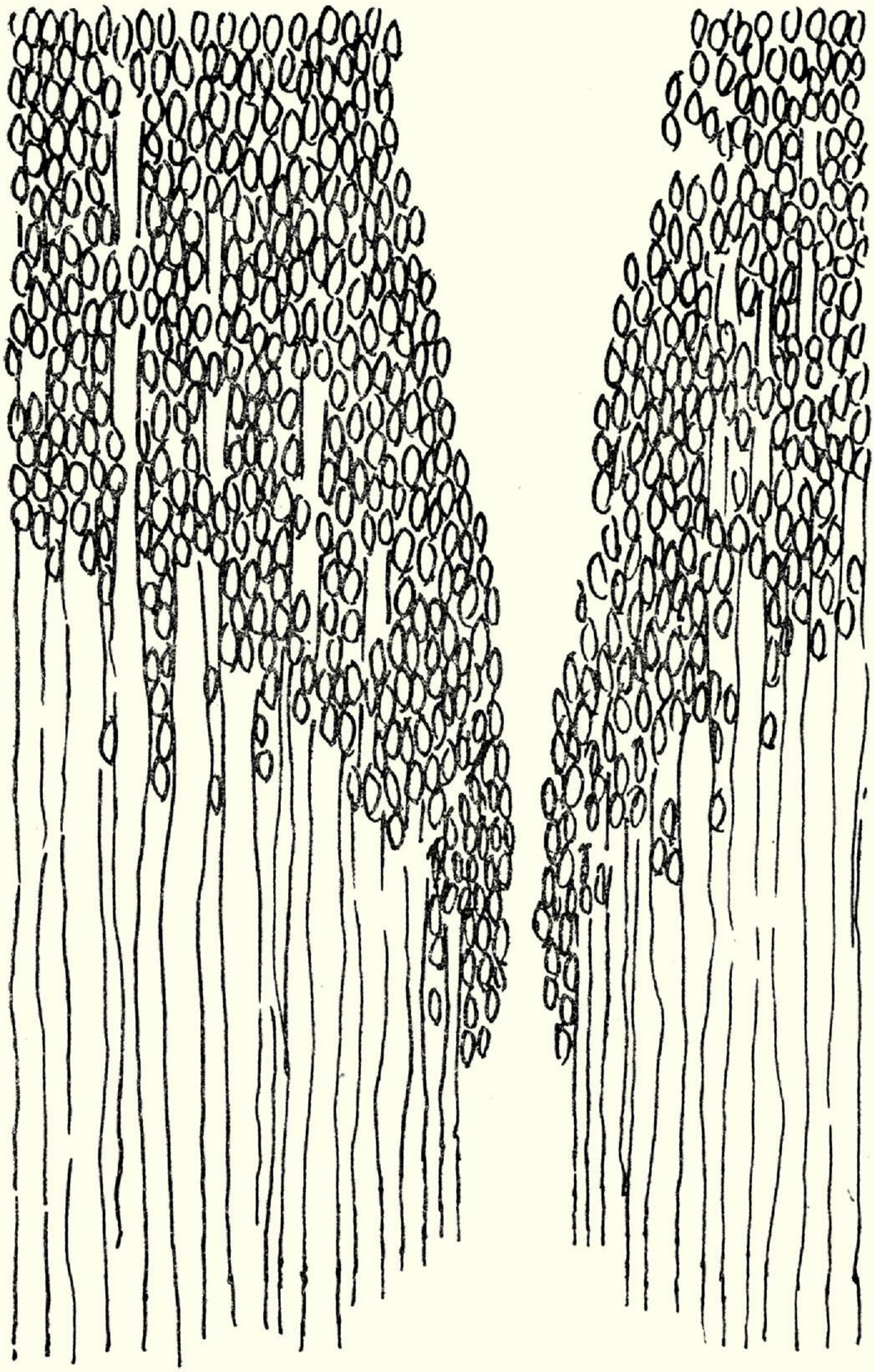

W PÓŁŚNIE. LAS

Niepodzielny ruch mrówek. Szuranie milionów:
od A
do A

— Nie słychać.
— Bo trwa...

Człowiek się budzi, gdy ustaje
zegar.

POWRÓT

Nie zaszczekał. Uniósł tylko mordę o rok
bielszą.

*

Pchnąłem drzwi
i usiadłem przy oknie.

*

Niebo było wyższe, a wzgórza niższe.

*

Spływając w dół rzeki przeciągnęli tuż
obok: kręcili koła, rzucali jakieś słowa

znałem tylko typ czółna.

*

Przyzwyczaić się do jednego miejsca,
to poznać materię
od jej strony najcichszej.

*

Przyjąłem w spokoju gwiazdę wieczorną.

TABLICE

tutaj się idzie i idzie

rzędy grobów, płyty, tablice. Taka ilość miesza.
A jednak napis: „Jan Zydorczuk" lub: „Marta
Przysiężna"
zawsze stoi s a m. I na pierwszym miejscu.
Oni — każdy z nich,
choćby za życia żuł tylko i żuł — są zewsząd ważni.
A wszystko w zwykłości powszedniego dnia (ta
dosłowność gwizdu ptaka na wysokim świerku
u końca
alei)

Schiller mówi jeszcze o woli. Ich obecność jednak
zmusza.
I forma ten stan wyraża.

szarpnął tedy i wyszedł. Spojrzałem na nią: stała
odchylona do tyłu;
jej drobna pięść tłukąca o powietrze!
gwałtowni byli, gwałtowni oboje. Potem on się gdzieś
uczył
i został artystą.

Wspominam tę scenę ilekroć patrzę na jego
obrazy. Ten sam ciągle temat: dziewiczy las o
purpurowych, ciężkich jak bochen liściach.
Pośrodku —
konik. Sprężony
i fioletowy,
bijący o Ziemię, o Czerwień, kopytkiem!

Nad wszystkim: ciche, dopraszające się spojrzenie
i wpółuchylone drzwi; tak zapamiętał.

PRZYPOWIEŚĆ

puch, kłaczek z topoli

drobina waty odłączona od palców kobiety,
która ucieszona w sobie
że ustało krwawienie, podeszła do okna szeroko
otwartego na

ogród
— powiada Moebe —

zbliża się do zwartej ściany innego drzewa, by
wessany przez kanalik powietrza, powstały z odgięcia
się

linii,
ze szpary
pomiędzy dwoma liściami — przejść

po drugiej już stronie i wyżej
niecąc iskrę
łączącą się w tle ze wspanialszym jeszcze lśnieniem
nieba!

Wykrojem, barwą, przez skojarzenia
zwraca na siebie uwagę rzecz, by p r z e t r w a ć
o mgnienie dłużej

w oczach Obserwującego.

TREN

Spośród form cichszych pamięta się zwierzę, kiedy
niszczeje.
W i e l k i e s p o j r z e n i e p s a
pod koniec, nim zdechnie, zalany własnym kałem
z powodu jelita, co pęka — od Koła.

Poniosłem go jeszcze.

Pamiętam: brama. Pusta jak niebo sala. I to: drobny
jakiś człowiek, jakiś biały fartuch
nad skórą psa
mówiący w zamyśleniu: „Kierowcy nie patrzą n a t o
i cisną na gaz"

nakrywamy szmatą, po czym wychodzę.

A. Konieczność przemiany...
B. pchnięcia.
A. Idzie o więcej:
pozwolić słupowi energii w słupku czterolistnym wystrzelić mocno w błękit, zanim
w blade płatki nie osypie się krew,
a jednocześnie
hamować, wytracać go pomału, wytracać pęd
do momentu,
kiedy na znieruchomiałej ziemi, w spokoju drzew...

*

tyle poeci; zostawmy. Stoimy nad wodą; pusto

tak, pięknie. Widać żabieniec: delikatna czerwień
zieleń
mocna
zieleń
— drobne owocki ułożone w pierścień

Właśnie nadchodzi pora
i rozdziela je woda

czysta; wolno przytykam oczy:
widać
znaki
słowa
— nasionka płyną. Po pewnym czasie staną się cięższe, opadną na dno i zaczną kiełkować.

Trwa świat, powiadasz,
i przebija się pierwsza, nie nasza wciąż, litera.

latami tracą. W kółko.

A jeśli osiągną, przychodzi to
gdzieś s p o z a
i ustala formę, nagłą, jak kropla

na płaskim liściu. Co w takim razie dają
oni?

W dzień pogrzebu swej matki Tadeusz pokazał mi
gipsowy odlew jej twarzy. Był jakby ciepły jeszcze
i zatopiony
w spokojnej wodzie

stawu; być może złudzenie to sprawiały
usta z tym tajemniczym uśmiechem zmarłych
na serce.

Na lewej skroni, na lekkim
szronie ujrzałem długi siwy włos
tej zmarłej.

Patrzyliśmy w milczeniu.

Uderzył mnie szczegół tej pięknej formy. Siwy włos
owej kobiety, a raczej blask wokoło niego (a może i
świat?)
jak gdyby p u l s o w a ł

na wyciągniętej dłoni kopisty.

* * *

Dotknąwszy jej —
trzymać.

W opuszkach
rozkwit! drobne
popychanki,
w opuszkach
młotki

Dotknąwszy —
trzymać.

W dotyku bowiem
cała
ciągłość rytmu,
cała
trwałość rytmu,
w dotyku tylko

Dotknąwszy tak —
trzymać.

Trzymając palec na główce
stokrotki
pragnę najpierw jednego

wyczuć jej
tętno,
stukanki (jej młotki)

Poznawszy już przedmiot,
zaczynam go malować

najpierw idzie Serce
potem idzie Głowa
potem wszystko inne.

Po chwili coś cicho odpowiada w nas: „tak”

to dobrze. Istnieje zatem nadzieja,
że odgarniając miasta wielkie,
dym, wojny w powietrzu i wojny na lądzie
natrafi się, być może, na
miejsce, nazwijmy je: p u n k t, w obrębie którego
rzecz każda ma urok malarstwa niedzielnego:
liść
jest zielony, trzmiel fruwa, ludzie
rodzą się nadzy; i pachnie; wzruszają ponadto pytania
retoryczne:

Co to jest? (a to jest sutka)
Co to jest? (a to jest śpiew)

zresztą
to jeszcze nie oddaje sprawy.

I niewątpliwie
rację ma Bergson, kiedy przełamując opór
wysokiego (w stylu) kołnierzyka
powiada, nisko (ku mrówce?) nachylony:
w punkcie tym
znajduje się coś
prostego, coś
nieskończenie prostego, tak niezwykle prostego, że

Nakłada kapelusz i milcząc odchodzi.

SPIS UTWORÓW

1. *** *(Idziecie czy nie...)* 5

ZIELONY JESTEŚ

2. Staff 9
3. Martwa natura z łodzią 10
4. Rozmowy 11
5. Słonie 14
6. Węszenie 17
7. Attyla 18
8. Z Baroku 20
9. Epizod na drodze 21
10. Nagle 22
11. W ich oczach z diamentu 23
12. Seneka 25
13. Nad Safoną 26

ROUSSEAU

14. Na farmie Labana 29
15. Ciszej 31
16. *** *(Czuje to...)* 32
17. *** *(Hilton rezygnuje...)* 33
18. *** *(ale sprawy są...)* 34
19. Lipchitz 35
20. Kroniki 36
21. Napisał 40
22. Rousseau 43

PRZYPISY

23. Napis 59
24. Piosenka 60
25. W półmroku 61
26. Dali, *Perspectives* 62
27. *** *(Pola konwaliowe)* (Z Berta Moebego) . . 63
28. List z Longarone 64
29. Fragment 67

DRZEWO OBIECANE

30. Postój Armii 71
31. Punkt 73
32. Widok morza ze szczątkami „Caravelle" . . 74
33. Zamoyski 76
34. Kropla 77
35. Bruegel, zapis 78
36. W Krojantach 79
37. Za Walensa 81
38. W Giarre 82
39. Benn 83
40. 1964 85
41. Czerwony „Triumph" 86
42. Kamień Le Corbusiera 88
43. Zeznane w Kolonii 89
44. Na drzewo 90
45. Levey i stary B 91
46. Tamayo odpada 95
47. Na temat Sisleya 96
48. Świetliste 97
49. Moravia. Warsztat 98
50. Inny przykład 100
51. André Bauchant i pancerniki 102
52. Kupkówka 103

53. W Zalesiu 105
54. Moore, gdy potwierdza 106

CHOWANKI

55. *** *(Około południa...)* 109
56. Widok z redy 110
57. Steichen 111
58. Głos przywołujący stary motyw 112
59. Sollers 114
60. *** *(A potem las...)* (Z Tomasza Crosby'ego) . 115
61. Kwiaty 116
62. Prowadzony 117
63. *** *(Obiecał...)* 118
64. W drodze do Matarieh 119
65. Japońskie stolarstwo 120
66. Usłyszane w Gruzji 123
67. Mann. Późna nowela 124
68. Eco 126
69. Na nowo 127
70. Chowanki 128

LITERA

71. Wydmy 131
72. Z Południa 132
73. *** *(Wspaniała zieleń...)* 133
74. Powiedzieć 134
75. Fotografia mężczyzny z mikroskopem . . . 135
76. Forma przestrzenna 137
77. Głowa 138
78. Z łąki 139
79. Manson. Teatr 140
80. *** *(Atakowany jednocześnie...)* 142
81. Przez moment 143

82. *** *(Skąd jest to piórko...)* (Z Berta Moebego) . 145
83. Wnętrze 146
84. *** *(Ukrzyżowani na białym stole...)* (Z Tomasza Crosby'ego) 148
85. W Cleveland 149
86. Paź królowej 150
87. Uchwytne 151
88. Z Księgi Jozuego 152
89. *** *(ziemia...)* 153
90. *** *(i coraz częściej...)* 154
91. W półśnie. Las 157
92. Powrót 158
93. Tablice 159
94. Matka artysty 160
95. Przypowieść 161
96. Tren 162
97. Litera 163
98. Udział artystów 165
99. *** *(Dotknąwszy jej...)* 166
100. Zamyślony 168

CENA Zł. 25,-